Nr. 40. Warszawa, dnia 19 Września (1 Października) 1898 r. Rok XVIII.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

*Adres: Nowogrodzka Nr. 39.*

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



## POLITYKA.

### NARESZCZIE!

Jak zmęczony długą, wśród spiekoty i niewygód, drogą podróżnik wita radośnie pierwsze drzewo, pod któremby mógł odpocząć, tak szarpany ciągłą niesprawiedliwością, fałszem, półśrodkowością i niedomówieniami publicysta europejski, wyczytawszy telegram o zgodzeniu się rządu francuskiego na rewizyę procesu Dreyfusa, z ukojeniem głębokiem zawołać musiał: Nareszcie! Mówiąc „publicysta,“ mamy na myśli, nie to dziennikarstwo, które się pasie nowiną i plotką, niemi tylko żyje i hałasuje po świecie; nie to, poważniejsze już, któremu wystarcza chwytanie, zatrzymywanie i zestawianie faktów; i nie to wreszcie, które, faktami tymi się obetkawszy, wyręcza i zastępuje ministrów europejskich, radząc im co robić mają i za nich już nawet robiąc — piórem po papierze. Publicystyka, podpadająca pod logiczną kategoryę myśli naszej, o ile się w dziennikarstwie przejawia, z nowinkarstwem nic wspólnego nie ma: zostawia je rozmaitego rodzaju *Figarom*, fakt ceni tylko jako prawdę, stara się ją rozpoznawać, wybierać z tysiąca fałszów, a wybrawszy rzuca na marmur zasad ogólnie-ludzkich, ucho trzyma przy piersi człowieczej, a oko wznosi się w górę ku ideałowi i ludzkiego rozsądku, ludzkiego rozumu nie odrywa ani na chwilę od ludzkiego sumienia. Taka tylko publicystyka wydać mogła—wydać musiała powyższy okrzyk.

Postanowienie gabinetu francuskiego, pod prezydencyą samego Faure'a d. 26 z. m. zapadłe, było rozcięciem wątpliwości, w jakiej pozostawiła rząd wyznaczona, jak wiadomo, komisya w ministeryum sprawiedliwości. W skład jej, według prawa administracyjnego francuskiego, weszło po trzech przedstawicieli ministeryum i sądu kasacyjnego; tylko dwóch urzędników i jeden sędzia oświadczyli się za rewizyą; sam minister, rewizyi przeciwny, szali przechylać nie miał prawa: przechylił ją rząd—ale jeszcze nie ostatecznie; ma nad sobą instancyę administracyjną niejako, w tym samym sądzie, którego dwaj członkowie już dotychczas okazali się przeciwnikami wznowienia procesu. Postanowienie rządu wprawiło sprawiedliwość w ruch; ale nie wepchnęło jej jeszcze na drogę rewizyi: t. zw. „Chambre des requêtes“ wydać musi akt już sądowy, orzekający potrzebę rozważenia, czy wyrok wydany na Dreyfusa ma mieć i nadal moc ostateczną, czy też wraz z całym procesem unieważniony być powinien. Po takiem dopiero orzeczeniu jednego z wydziałów sądu przyjdzie owo rozważenie już wyrokujące, w zwiększonym komplecie najwyższego sądu Francyi. Samo poddanie zatem procesu Dreyfusa pod wyrok, mogący go znieść albo utrzymać, nie jest jeszcze dziś pewnem, a gdy już będzie niezawodnem od poddania do unieważnienia Temida francuska będzie miała drogę długą i niewolną od niebezpieczeństw — rzeczywistych i urojonych.

Czyhać na nią będą rozmaite smoki — straszydła jedne od drugich wstrętniejsze, ale jej drogę też zagrodzą i rzeczywiste wrogie moce: przedewszystkiem polityka, ze swą nieodrodną siostrą, dyplomacyą. Kiedy każdy w narodzie jest politykiem i dyplomatą, kiedy wątpliwości rozstrzyga nie jako człowiek — sumieniem i rozsądkiem, wiedzą naukową i miłością prawdy, ale jako mądry polityk i mędrszy jeszcze dyplomata, jasno wpatrzony w przyszłość i wszystkie jej tajemnice i niebezpieczeństwa — w takim stanie, poprostu, niewoli tłoczącej umysły — może i sędzia zabawić się w politykę i swoje sumienie i wiedzę, doświadczenie i umiejętność prawną, sam nawet nie zdając sobie sprawy, poddać pod jarzmo korzyści lub szkody politycznej. Każdy należy do jakiegoś stronnictwa; jeżeli w gronie sędziów ostatecznie wyrokujących o procesie z r. 1894 znajdzie się większość ze stronnictwa politycznie rewizyi przeciwnego, to cała świadomość i wola prawnicza, rdzennie jurydykcyjna, bez pomocy charakteru, bez czystości duszy — z błota polityki wydobyć się nie zdołają i obowiązku swego nie spełnią.

Stronniczość ta w dzisiejszej Francyi jest prawdziwie przerażającą. We wszystkiem interes — i interes wszystkiem. Zasady, przekonania o rzeczach, ludziach samych w sobie, prawa, bez których współistnienie w gromadzie ludzkiej jest niemożliwem, cześć dla prawdy i pragnienie jej w życiu: wszystko to, co w dawnej filozofii obejmowano nazwą moralnego porządku świata, a co było ideałem jaśniejącym nad porządkiem rzeczywistym— dziś już jest towarem wyszłym z obiegu. Użycie zmysłowe, żądza ciągłego używania urobiła szczególny typ roznamiętnienia w całym narodzie. Niema namiętności rodzących się z ideałów, a jeżeli są, nie one o życiu choćby tylko pojedynczych momentów, rozstrzygają; są za to namiętności wylęgające się z egoizmu, i całe ich morze zalewa społeczeństwo francuskie, coraz głębiej i coraz zgubniej. Nic nie znaczy krzywda, nic prawo, nic porządek logiczny, nic trwały nawet, dla rozumów tylko dostępny, interes: okrutne morze wszystko w przepaściach swych chłonie, a na powierzchni zostaje tylko marna, licha namiętność, owczy pęd za zręcznymi kuglarzami, ohydny militaryzm, krótkowidztwo samobójcze, krzykactwo zagłuszające świat — i w końcu uciekająca coraz dalej od Francyi Alzacya i Lotaryngia—dla której przecież całe to znieprawienie się spełniło! Tak jest, ale się ma przed

sobą naród, który był zawsze dla ludzkości laboratoryum wielkich idei i wielkich ruchów. Dzisiejszy upadek Francyi może jest dlatego tak głębokim, że przyszłość chowa w swem łonie wielką przeciw niemu reakcyę — głęboko sięgającego odrodzenia.

---

Tydzień polityczny. Orzeczenia Chambre des requetes sądu kasacyjnego spodziewać się można dopiero w listopadzie. Rząd jednak wydał już teraz rozkaz podjęcia przygotowań do przewiezienia Dreyfusa z Czarciej wyspy. Gdyby przyszło do rewizyi, p. Sarrien, minister sprawiedliwości, ma się cofnąć od sprawiedliwości i chwycić za oświatę. P. Bourgeois wziąłby opuszczoną włopiekę; nieosobliwie zaopiekował się nią w procesie panamskim. Głowę ma dobrą, ale charakter nie dopisuje. Esterhazy sprzedał ostatecznie swoje tajemnice, jakieś pamiętniki, z których wyjątki dają *Observer Daily News*, organ poważny, puszczający się na hazard. Najjaskrawszem jest opowiadanie szalbierza o przyczynach dymisyi Cas.-Periera w styczniu 1895 r., po procesie Dreyfusa. Oto hr. Munster ułożył sprawozdanie dla swego cesarza; Francuzi je przejęli i skopiowali. Dowiedziano się o gwałcie. Nakazano Münsterowi zażądać paszportów. Cas.-Perier zażegnał burzę słowem honoru, że się to już nie powtórzy. A tymczasem powtórzyło się w dni kilka: Cas. Perier musiał dać przynajmniej takie zadośćuczynienie, jakiem być mogło nagłe ustąpienie z prezydentury. Szalbierz opowiada i inne rzeczy. Przyznaje się np. do autorstwa nawet owego *bordereau*, jedynego dowodu, na którym sąd wojskowy mógł prawnie oprzeć swój wyrok, gdy autorstwo Dreyfusa było niewątpliwem. Czy też rząd francuski zażąda wydania, czy sprawiedliwość będzie mogła i chciała sięgnąć po niegodziwca?

D. 26 z. m. odbyło się pierwsze posiedzenie Rady państwa w Wiedniu, w żałobnych tużurkach. Dzięki żałobie nie było jeszcze starcia: poświęcono posiedzenie uchwaleniu współczucia dla cesarza. Na prezydenta wybrany Fuchs (poprzedni), na viceprezydentów Lupul i Ferjanczyc. Lewica skrajna niemiecka chce pierwsze czytanie ugody z Węgrami puścić wolno, aby się sama wygadać mogła. W środę miano rozpocząć rozprawy.

Na Korei chciano otruć cesarza i jego żonę. Dla bezpieczeństwa gwardya Europejczyków zaczęła już pełnić służbę, ale wskutek protestacyi agenta dyplomatycznego rosyjskiego cesarz ją rozpuścił.

Francya wypiera się Marchanda w Faszodzie nad Nilem, w której już Kitchener zostawił załogę.

Okólnik admirała Canevaro, ministra spraw zagr. Włoch i odezwa do Porty o ustąpienie z Krety — czekają na skutek.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### PRZEGRANA.

Przed pół rokiem Warszawa była widownią walki pracowników aptekarskich o chleb i prawa należne ludziom. Żądano naprawy warunków bytu, zmniejszenia nadmiernego ciężaru pracy i uwolnienia z poddaństwa, które dziś zupełnie uzależnia te liczne rzesze. Żądania były skromne, nawet za skromne. Pomimo to zrazu oburzyły przedsiębiorców, a potem skłoniły ich do taktyki podstępnej, która w opinii społecznej jest haniebną a wobec prawodawstwa — karygodną. „Z początku—czytamy w najświeższym nr. *Przeglądu farmaceutycznego* — oblicza właścicieli przybrały wyraz zdziwienia a nawet oburzenia, że pracownicy aptek nie umieją zrozumieć i ocenić ich dobrych chęci, że są niewdzięcznikami, którzy raczej na naganę niż na współczucie zasługują. Gdy zaś opinia publiczna stanęła istotnie po stronie pokrzywdzonych, przekonawszy się, iż żądania ich nie są zbytnio wygórowane, w kole właścicieli dał się zauważyć lekki, a nadewszystko powolny zwrot w kierunku ustępstw, lecz natomiast mający na celu zamaskowanie istotnego planu działania. Na korzyść wszakże jednostek przyznać należy, że w niektórych aptekach warszawskich wprowadzono dobrowolnie żądane przez stronę przeciwną zmiany bez zastrzeżeń."

O tych żądaniach i zmianach pisaliśmy w nr. 21 *Prawdy*, obecnie więc, dla uwydatnienia całej sprawy, zaznaczymy tylko sformułowane wówczas warunki. Na posiedzeniu komisyi specyalnej dn. 2 i 3 kwietnia r. b. delegaci przedstawili następujące zadania ogółu towarzyszów, ogłoszone potem w pismach: 1) Dzień roboczy 12-godzinny przyjmuje się za zasadę z przerwą 2-godzinną na obiad. Dzień ten liczyć się winien od godz. 9-ej rano do 9-ej wieczorem. 2) Zniesienie dyżurów nocnych dla pracujących w dzień i zaprowadzenie dyżurantów specyalnych. Czuwanie nocne trwać ma od 9-ej wieczorem do 9-ej rano. 3) Wychodnie dwa razy na tydzień od 2-ej po południu i co drugie święto cały dzień. 4) Zmiana mieszkania i „życia" na pieniądze; przyczem za normę uważać należy rs. 30 miesięcznie. 5) Urlopy: po roku — dwa tygodnie, po dwu i więcej — miesiąc. 6) Kształcenie i wychowanie uczniów. Delegaci właścicieli aptek uznali te żądania za słuszne. Nie chcąc im wszakże zadość uczynić, tłomaczyli się brakiem upoważnienia do postanowień. Wynik zaś narad zamknięto w następujących protokółach: Delegacya Towarzystwa farmaceutycznego warszawskiego, po dokładnem rozpatrzeniu żądań jej przedstawionych od imienia pracujących w aptekach warszawskich, przyszła do wniosków: 1) Pożądanem jest, ażeby „w granicach możliwości, zależnej w każdej aptece od miejscowych warunków," zaprowadzić okres pracy 12-godzinnej. Aby farmaceuta, pełniący dyżur nocny w aptekach, gdzie nocna czynność wymaga czuwania, miał odpowiednie odszkodowanie w porze dziennej. 3) Aby *o ile możności* mieszkanie i stołowanie w naturze zamienić na odpowiednie wynagrodzenie pieniężne, przyczem *o ile warunki miejscowe pozwolą*, pracujący mogą obiadować na mieście, zamieszkiwać zaś powinni w tym domu lub w najbliższem sąsiedztwie. 4) Wychodnie i urlopy pozostawia się ściśle osobistemu porozumieniu stron interesowanych.

Już te wszystkie zastrzeżenia „o ile możności," „w granicach możliwości," „o ile warunki miejscowe pozwolą"—wyraźnie mówiły, że wnioski panów przedsiębiorców są lichą komedyą, obliczoną na łatwowierność pracowników. Nie można było brać tej zgody za dobrą monetę, ani też wierzyć w gotowość tych panów do „pewnych" ustępstw! Zaledwie dziesięciu, i to już po za uchwałami komisyi, zgodziło się na następujące warunki: Praca dzienna ma się liczyć od 9-ej rano do 9-ej wieczorem z przerwą dwugodzinną na obiad. Wynagrodzenie pomocników aptekarskich ma wynosić od 60 rb., prowizorów od 75, przyczem utrzymanie i mieszkanie będzie zastąpione gotówką. Nadto pracownicy dwa razy tygodniowo korzystają z odpoczynku od godz. 3 po południu i co drugie święto przez cały dzień. Latem ma być zapewniony urlop kilkotygodniowy, bez potrącenia pensyi. Nie wiemy jaką rolę będzie grało w tem zobowiązaniu *o ile*. To tylko pewna, że nasze przewidywania i ostrzeżenia sprawdziły się. Był to prosty manewr, działający na „uspokojenie umysłów." Oto co się dowiadujemy z *Przeglądu farmaceutycznego*: Właściciele aptek przy pomocy swego Towarzystwa rozwinęli pracę usilną około zniweczenia solidarności między pracownikami. Przedewszystkiem zaś skierowali swoją działalność przeciwko jednostkom wybitniejszym i powoli zaczęli je usuwać ze swoich aptek. Chcąc całkowicie odnieść zwycięztwo, „postanowili użyć potężnego bodźca — przekupstwa, ubranego w najmniej rażącą formę, podwyżki pensyi, związanej z tak cenną łaską pańską." Nie omylili się w swych rachubach. Znaleźli natychmiast ochotników, którzy zrobili wyłom w murze solidarności koleżeńskiej. Sprzedali ją za 15, 20 rb. podwyżki miesięcznej. To był punkt oparcia w kampanii przedsiębiorców. Zaczęto stopniowo usuwać dawny personel apteczny, a natomiast powoływać nowych kandydatów z prowincyi dalekiej. Podobno nawet osobiście jeździli na poszukiwanie tych sił nieuświadomionych. W ten sposób usunięto najpierw delegatów ze strony pracowników, wybranych na zgromadzeniu wyborczem d. 16 marca r. b. Następnie zaczęto usuwać wszystkich, którzy kiedykolwiek żądali naprawy warunków obecnych. Tym sposobem dziś już można powiedzieć, że pracownicy aptekarscy w danej chwili zupełnie przegrali kampanię. *Przegląd farmaceutyczny* bardzo słusznie z tego powodu wylał potoki oburzenia na głowy właścicieli aptek. Czyn ich jest istotnie haniebny, ale, niestety, nie wyjątkowy. Należy ich napiętnować, ale zarazem i stosownie ocenić. Cały handel apteczny jest oparty na możliwie największym wyzysku. Jeżeli właściciel apteki każe nędzarzowi płacić pół rubla za lekarstwo, którego produkcya trzy grosze kosztuje, czyż można się spodziewać, że nie będzie w takim samym stosunku ciągnął zysku z pracy swego personelu?

Taki stan stosunków ekonomicznych jest wrzodem, którego nie można usunąć za pomocą różnych okładów z poczucia honoru, sumienia, humanizmu, obowiązków obywatelskich, miłości bliźniego, cnót chrześciańskich itd. Trzeba się uciekać do środków stanowczych. Tymczasem pracownicy aptekarscy dmuchają w popielisko duszy przedsiębiorców, ażeby rozdmuchać iskry „poczucia," zapominając o tem, że jest tam tylko jedna iskra — poczucia własnego interesu. Cała ta przegrana i sposób parlamentowania świadczy tylko, że pracownicy aptekarscy są jeszcze bardzo słabi na gruncie społecznym. Organizując walkę, przerachowali swe siły, nie zdolali zsolidaryzo-

wać się nalczycie. Chcąc się podźwignąć i wywalczyć w przyszłości to wszystko, co się im należy, powinni najpierw zaczerpnąć wskazówek ze smutnego doświadczenia i oczyścić własne szeregi z lichych i nędznych charakterów, tj. oddać je pod pręgierz opinii uczciwej, a jednocześnie pracować nad tem, ażeby towarzyszów słabych, chwiejnych natchnąć poczuciem dobra ogólnego. Tylko tą drogą można dojść do dojrzałości społecznej; a wtedy przemawiać trzeba nie do sumienia, lecz do jednego czynnika, który tkwi w duszach przedsiębiorców: do poczucia interesu, to jest przekonać, ich że nie będzie dobrym interesem wyzyskiwanie publiczności i pracowników. W zarysach realnych sprawa tak się przedstawia: Usuwanie pracowników zdolnych i doświadczonych, a zastępowanie ich siłami najlichszemi i zarazem najtańszemi, jest zamachem na bezpieczeństwo publiczne i interesy ogółu, gdyż niedbała i nieumiejętna praca może narazić na omyłki, grożące zdrowiu, życiu i kieszeni spożywców. Obarczanie pracą nadmierną nawet ludzi zdolnych, sumiennych i doświadczonych, prowadzi do tych samych rezultatów. Obowiązkiem tedy całego społeczeństwa powinno być poparcie moralne pracowników aptekarskich i ułatwienie im zwycięztwa. Trzeba zaniechać drogi bezpośredniego porozumiewania się z przedsiębiorcami, lecz szukać środków uregulowania warunków obecnych za pomocą nacisku prawodawstwa.

## LISTY PETERSBURSKIE.

Nieurodzaj. — Środki zaradcze. — Emigracya na Syberyę i zawód wychodźców. — Pożary i organizacye ratunkowe. — Temat do satyry. — Dobre chęci a czyny.

Dwie klęski są obecnie na dobie w całem państwie: nieurodzaj i pożary. Sprawozdania urzędowe ministeryum skarbu tudzież ministeryum rolnictwa i dóbr państwa wykazują, iż w znacznej części Rosyi wschodniej, a także miejscami w guberniach środkowych nieurodzaj jest faktem niezaprzeczonym. A więc drugi rok z rzędu rzesze ludności wiejskiej nawiedza zmora głodu. Ten właśnie drugi rok najbardziej potęguje klęskę. To samo było przed siedmiu laty (1891—92). W pierwszym roku są jeszcze jakiekolwiek środki obrony, w następnym wyczerpują się już wszelkie zapasy. Cały ten ciężar, największe obowiązki ratunku, spadają na sfery administracyjne, które muszą organizować pomoc. Doświadczenie z przed siedmiu laty dowiodło, że to jest niezmiernie trudne i powikłane zadanie, o pośpiechu zaś mowy być nie może. Oto jakiemi drogami idzie ta pomoc (według opisu *Now. Wr.*): „Jeżeli ma się na względzie pomoc przy żniwach ozimych, to przedewszystkiem czekać trzeba na zgromadzenie niezbędnych wiadomości po wsiach, następnie na odesłanie ich z biur powiatowych do gubernialnych, z tych do gubernatora, a nareszcie do Petersburga. Tam materyał ten musi być porównany z gotowymi już wykazami statystycznymi i dopiero wtedy zacznie się rozsyłanie nasion. Tym sposobem nasiona ozime ludność może dostać podczas siewów jarych. Takiemi samemi drogami idzie zboże na wyżywienie. Jeżeli sprawa przeciągnie się wskutek oczekiwania na różne raporty, to tańsze zboże wywiozą za granicę lub skupią młyny, ludność zaś dotknięta klęską nieurodzaju, dostanie droższe." Tak właśnie było przed siedmiu laty. Obecnie po kosztownem a dotkliwem doświadczeniu oczekują innych metod. Przedewszystkiem ziemstwa rozpoczęły energiczną działalność, rozwinęły zabiegi informacyjne i jednocześnie zakrzątnęły się około zakupów zboża. Podobno pełnomocnicy ministeryum skarbu również poczynili już znaczne zakupy. Wreszcie dyrektor departamentu gospodarczego wyjechał do gubernij, dotkniętych nieurodzajem w celu naradzenia się z przedstawicielami ziemstw, „Więcej tylko ufności dla ziemstw — radzi *Now. Wr.* — które dowiadują się o potrzebach ludu nie z wykaligrafowanych wykazów, lecz pochwytują je w bezpośredniej styczności z życiem; więcej pośpiechu i sprężystości, a można będzie klęskę znacznie osłabić." Pośpiech powinien opierać się na innej procedurze: Należy kupować nie wtedy, gdy wszystko już wyjaśniono, wszystkie referaty opracowano, a zboże wywieziono za granicę, lecz wtedy, gdy ceny są nizkie.

Podczas ostatniego nieurodzaju wprowadza ono roboty publiczne; doświadczenie wszakże wskazało, że roboty owe były pod każdym względem nieprodukcyjne. Z tego względu p. Meczczerskij radzi, ażeby nadal zaniechano zupełnie tych środków. Jest to propozycya co najmniej dziwna. Nie roboty należy potępiać, lecz sposób ich organizacyi i wykonania.

Po nieurodzajach i wogóle wszelkich klęskach ekonomicznych zwykle się wzmaga ruch emigracyjny ludności wiejskiej. Z gubernij środkowych i wschodnich ruch ten ciąży zwykle ku Syberyi. W ostatnich zaś latach wychodźctwo za Ural rozwinęło się szerzej i ogarnęło już gubernie litewskie. W roku bieżącym gorączka ta zaczęła szczególnie trawić powiat Wilejski. W ciągu kwietnia i maja liczne tłumy włościan zalegały stacyę Mołodeczno, z której następnie jechały do gubernii Jenisejskiej. Ale snadź niedobrze im było w stronach obcych, nieznanych, skoro w czerwcu i lipcu wrócili do wsi rodzinnych. Byli to już nie ludzie pełni otuchy i nadziei, pracowici, ożywieni, lecz nędzarze obdarci, znękani, rozbici moralnie i wyczerpani fizycznie, pozbawieni strawy codziennej i nieraz kąta własnego. Gdy im w drodze zabrakło pieniędzy, posprzedawali siermięgi i buty, wrócili boso, w jednych tylko koszulach. Ciężki zawód i rozpacz tych tłumów opisuje korespondent *Birż. Wied.* z Wilejki. Chłopi z westchnieniem i przekleństwem na ustach mówią o swojej wędrówce smutnej o zawodach i cierpieniach, doznanych w drodze długiej i uciążliwej. Najbardziej do ich nędzy i nieszczęścia przyczynili się naganiacze i doradcy różnego rodzaju. Okazało się, że w miejscach wytkniętych na kolonizacyę grunt jest lichy, torfiasty, woda cuchnąca. Miejscowość bardzo górzysta, w dzień straszliwa spiekota, w nocy zimno. „Idźmy lepiej umrzeć w stronach rodzinnych!" — wołali zawiedzeni. Wróciwszy do swoich domów opuszczonych, padali na kolana i z ekstazą wznosili ręce ku niebu, całowali ziemię i węgły swoich chałup. Jeden chłop, przystawiwszy drabinę, obcałował wszystkie berwiona swojej chaty. Zagrody te i ziemię oddali oni, emigrując, swoim krewnym lub sąsiadom. Ci oczywiście skorzystali ze sposobności, a obecnie faktyczni właściciele gruntów i zagród prawdopodobnie będą pełnili służbę parobków u posiadaczów fikcyjnych, nieprawnych. Widok tych rozbitych i znękanych tłumów wpłynął trzeźwiąco na ludność wiejską i dziś mało już kto mówi o wychodźctwie. Ale naiwność i ciemnota niema granic, więc gdy przejdzie pierwsze smutne wrażenie, niewątpliwie znajdą się nowi naganiacze, którzy zawsze najwięcej korzystają w mrokach.

Zanim mroki umysłowe rozproszą promienie oświaty, łuny groźne, krwawe palących się wsi i miasteczek długo jeszcze oświetlać będą okolice. W roku bieżącym klęska ta doszła do rozmiarów zatrważających. Rośnie ona z każdym rokiem, a środków ratunku nie widzimy wcale. Ktoś utrzymuje, że w ciągu lat 20 wszystkie wsie, osady i miasteczka zupełnie się odnawiają przez wypalanie. Twierdzenie to może niewiele odbiega od prawdy. Jedna tylko gubernia Saratowska co rok daje około 10,000 pogorzelców. Smoleńska zaś w ciągu ostatniego roku poniosła straty skutkiem pożarów dwa i pół miliona rubli: Wielce ciekawe są dane centralnego komitetu statystycznego, opracowane dla pierwszej wystawy ogniowej w państwie. Otóż dane te wykazują, że straty materyalne prowincyi wzrastają stale. W okresie 1860—1869 r. liczba pożarów w 49 guberniach wynosiła 1,699, w następnem dziesięcioleciu liczba ta urosła do 2,801 wreszcie w okresie 1880—1889 wynosiła już 3,828. *Prawda* wykazała w osobnym artykule braki i środki walki z tą straszną klęską. Poprzestajemy więc tylko na zaznaczeniu faktów i podkreśleniu pilnej, niezwłocznej walki z tem masowem nieszczęściem ludności, prowadzącem do zupełnej ruiny ekonomicznej. Dotychczas robi się niewiele. Ziemstwa otrzymują dość znaczne sumy na zapomogi bezprocentowe dla włościan, którzy zechcieliby urządzić fabryki dachówek, tudzież dla osób prywatnych, produkujących materyał ogniotrwały na pokrycie domów. W roku przeszłym ziemstwo jekaterynosławskie wydało na ten cel 5,000 rb. Ziemstwo saratowskie już od lat 12 stara się o wprowadzenie dachów ogniotrwałych, o zamianę słomy na snopy przesycone gliną i nawet w tym celu wydaje zapomogi bezzwrotne. Dzięki temu, w całej gubernii podobno istnieją już tysiące domów, krytych jeżeli nie materyałem całkowicie ogniotrwałym, to przynajmniej nie łatwo i nie szybko palnym. Dachy jednak nie zabezpieczają domów zupełnie od ognia, bo są jeszcze łatwo palne ściany, są różne budynki niemieszkalne w pobliżu domów, masa materyału nagromadzonego w podwórzach, stajniach, oborach itd., wreszcie istnieje wadliwy sposób zabudowywania tudzież brak środków ratunkowych. Wobec tego zwrócenie uwagi i środków tylko na dachy, prawie chybia celu.

Sumy, udzielane na utrzymanie i organizacyę straży ogniowych, są nadzwyczaj skromne. Według informacyi urzędowych, 687 miast w 61 guberniach 1894 r. wydało na ten cel około trzech i pół miliona rubli. Przytem suma wydatków rocznych w niektórych miastach poprostu jest śmieszna. Druja wydała *cztery* ruble, Wilejka 66 rb., wiele miast po 40 rb.; 226 miast dotychczas nie posiada wcale straży ogniowych. Ochotnicze, jakkolwiek mnożą się powoli, w znacznej jednak większości nie przynoszą żadnego pożytku, gdyż celem ich jest prawie wyłącznie strona dekoracyjna. Członkowie są zajęci umundurowaniem się, rozmaitemi rozrywkami, orkiestrą własną i skutkiem tego niema czasu na cele i zadania rzeczywiste. Czytaliśmy niejednokrotnie skargi korespondentów, że ochotnicze straże ogniowe na te uroczystości i dekoracye wydają wszystkie środki. Jedna zajęła się gorliwie sprawieniem instrumentów muzycznych, podczas gdy narzędzia ogniowe były zupełnie niezdatne do użytku. Wiele straży rozwiązało się z braku ochotników. Śród skarg nieraz czytamy opisy, nadające się do satyry Szczedry-

nowskiej. W pewnej wsi oczekiwano wizyty jakiejś wyższej władzy. Trzeba było przedewszystkiem sprezentować straż ogniową. Okazało się jednak, że w beczkach woda zamarzła. Administracya miejscowa była w rozpaczy. Ale oto komuś przyszedł pomysł do głowy, ażeby „nastawić" wszystkie samowary i za ich pomocą roztopić lód. Usiłowania były daremne. Po długich męczarniach i załamywaniach rąk przyszedł inny, szczęśliwszy projektodawca. Poradził wnieść beczki do łaźni. Jakoż usłuchano tych wskazówek i lód stopniał, honor ocalono! W innem miejscu kiszka podczas pożaru odmówiła posłuszeństwa. Okazało się, że jest zadławiona kartoflami. W takim stanie jest obecnie organizacya ratunkowa. Tu i owdzie coś się robi, wydaje pieniądze, nawet znaczne; ale cała ta działalność jest albo bezcelowa, albo jałowa, podobna do roztapiania lodu w beczkach.

Jeżeli zsumujemy wszystkie niedomagania wielomilionowych rzesz ludności: fatalny stan hygieniczny, choroby epidemiczne, emigracyę na oślep, pożary i niezaradność ludu wobec tej i wielu innych klęsk, nędzę skutkiem małej produkcyjności i pierwotnej gospodarki — zawsze przyjść musimy do jednego wniosku: główną przyczyną tego wszystkiego jest ciemnota. Ona w swym szerokim płaszczu spowiła olbrzymie masy ludu, zrobiła z nich rzesze niemowląt. Czy są jakiekolwiek środki przedsiębrane do rozproszenia tych mroków i zarazem do usunięcia wszelkich niedomagań? Owszem! Są. Przejrzyjmy różne sprawozdania. Jak tam pięknie wygląda działalność różnorodna. Tu założono szkoły, tam czytelnie bezpłatne przy herbaciarniach. Cyfry imponujące pocieszają stałym wzrostem. Ale póty one pocieszać będą, dopóki nie zajrzymy w głąb życia rzeczywistego. Wogólnych zarysach i dążnościach jest dużo szlachetnych zabiegów i usiłowań. Twórcy szkół, czytelni itd. są ożywieni piękną ideą oświaty powszechnej i dobrobytu ludności. Szkoda tylko, że ich plany, zalecenia i dzieła zupełnie bywają skażone w życiu. We wsi X. urządzono wprawdzie czytelnię, *ale* w lokalu tak ciasnym, że zaledwie pięć osób zmieścić się tam może. We wsi Y. z wielką radością powitano czytelnię, *ale* zaopatrzono ją w tak liche książki, że ta piękna instytucya nie przynosi żadnego pożytku. Prowincyonalny fejletonista *Birżew. Wiedom.* zebrał sporo takich *ale*. Między innemi zaznacza on, że w jakiemś miasteczku gub. Podolskiej czytelnicy słuchać muszą krzyku niemowlęcia, poręcze zaś krzeseł przyozdobione są mokremi pieluszkami. Gdzieindziej nie dają wcale światła. Czytelnicy o późnym zmroku psują sobie oczy, chciwie czytając, gdy tymczasem lampy zaśniedziałe leżą w kątach. Wogóle zauważono, że zarządzający herbaciarniami i czytelniami obchodzą się z gośćmi szorstko i zamiast zachęcać zrażają ich; pełnią swoje obowiązki niedbale i nawet nieuczciwie. Wszystko to dowodzi, że tak ważne organizacye tworzą się bez udziału lub z bardzo słabym udziałem ogółu światłego. Dopóki on tej sprawy nie weźmie gorąco do serca, póty dziać się będą tego rodzaju nadużycia i grzechy, rujnujące w zarodku całe dzieło. Trzeba więc przedewszystkiem społeczeństwo inteligentne zachęcić i powołać do tej pracy obywatelskiej.

*Paweł Krzyżanowski.*

# Z GALICYI.

Wróżby ludzi szczęśliwych. — Przesadna rozpacz w Galicyi. — Budzenie się opinii publicznej pod formą krytyki stosunków. — Zarzuty czynione młodzieży. — Krytyka działalności Wydziału krajowego. — Zgubienie się 12,000 złr. z funduszu W. kr. — Obostrzenie przepisów, kontrolujących działalność szynkarzy.

Za kilka dni zbiera się na nowo Rada państwa w Wiedniu — na nową próbę zharmonizowania rozluźnionych stosunków. Pierwsze dnie wypełnia się różnemi formalnościami; do pracy czasu nie starczy. W obecnej chwili najciekawsze są poglądy i wróżby naszych domorosłych polityków na przyszłą działalność parlamentu. Utrzymują oni, że wszystko się skończy najlepiej na tym najlepszym ze światów, gdyż wobec ciosu, jaki dotknął cesarza, opozycya nie zechce dodawać goryczy do przepełnionego kielicha; Czesi będą milczeć, Polacy urządzą jakąś sympatyczną manifestacyę — i wszystko będzie dobrze.

Przechodzę do życia i do jego fal codziennych. Rozruchy antisemickie w Galicyi zachodniej, stany wyjątkowe i sądy doraźne, a co ważniejsza, nie zawsze obywatelskie zachowanie się biurokracyi galicyjskiej, poczęły budzić tutejsze ospałe społeczeństwo. Najspokojniejsi ludzie zastanawiają się nad położeniem Galicyi i przychodzą do wniosku: że źle się dzieje, że to, co miało nas łączyć — dzieli, ci, którzy stanęli na czele narodu, których wyśrubowywano w górę wszelkimi sposobami, okazali się lojalnymi biurokratami, oglądającymi się częściej na to, ażeby jakiego wiedeńskiego hofrata nie narazić sobie, niż na dobro publiczne; starzy—bez energii i ospali, młodzież, przesiąknięta duchem biurokratyzmu, już w uniwersytecie zaczyna marzyć o przeżuwaniu okólników, o orderach i emeryturze — o tem, o czem marzyli jej ojcowie. Do pracy zachęca ją urząd, order, emerytura, nie duch obywatelski. Tu i owdzie słychać nawoływania do naprawy złego i, doprawdy, że z tych nawoływań więcej będzie pożytku, niż się niejednemu zdaje. Robić dobrze można, tylko niema komu. Władze urzędowe ruszyły się także, odezwała się krytyka nieruchomych bożków, którym do niedawna cześć oddawano.

Zacznijmy więc. Pierwsze strzały padły ze strony bardzo poważnej, bo od przewodników młodzieży. Profesor uniwersytetu lwowskiego, dr. R. Zuber, uderzył bardzo ostro na to, że ideałem jej jest urząd. Uniwersytet jest dla niej instytucyą—powtarza on za innym zuchwalcem—w której zdaje się tylko szereg egzaminów dla otrzymania dyplomu, dającego możność zajęcia pewnych posad. Tak jest — i doszło do tego, że biurokratyzm stał się plagą Galicyi, że maszyna wzięła górę nad człowiekiem, który ją stworzył, że stworzona dla pożytku innych stała się u sługi królową. Wszyscy wołają: chleba, chleba, chleba — i cisną się do biur, gdzie leżą nędzne suchary, a nikt nie chce sięgnąć dalej ręką, gdzie leżą skarby nietknięte jeszcze. Chleb biurokratyczny rozleniwia umysł, odbiera rzutkość i energię osobistą, a przyzwyczajając do działania według okólników, zabija wszelką inicyatywę osobistą i dzielnych ludzi przerabia na dzielne maszyny rządu austryackiego, które gruchocą wszystko ślepo — nawet własnych braci. A jednak do nędznego biurka urzędniczego ciśnie się młodzież przemocą prawie, bo, leniwa umysłowa i apatyczna, żąda chleba bez walki. Z 1,531 słuchaczów uniwersytetu lwowskiego 1,088 zapisało się na prawo, 239 na teologię, 128 na medycynę, a 76 na filozofię. Oto jest odpowiedź na to, dlaczego grunt galicyjski jest jałowy umysłowo. Uniwersytet fabrykuje tysiącami rozmaitych prawników i doktorów, Bóg wie jakiej filozofii, a dziesiątkami zaledwie wydaje dzielnych pracowników. Prawo otwiera drogę do urzędu, cisną się więc wszyscy, kto może, do tego ołtarza sprawiedliwości, na którym rząd rozsypał okruszyny jak dla wróbli, tłoczą się nawet tacy, którzy w domu mają chleba dosyć. Syn zamożnego posiadacza wioski, zamiast pójść na rolnictwo i w swoim fachu zdobyć najwyższą wiadomość, ażeby warsztat ojcowski utrzymać, rozszerzyć, udoskonalić, kończy uniwersytet i idzie za kilka złotych reńskich wycierać łokciami biurko urzędnicze, bo przywykły do miasta, do knajpy, woli formułki urzędnicze i okólniki, które każdym krokiem jego kierują, niż łamać głowę nad jakąś myślą samodzielną lub pracą. Syn kupca porzuca sklep, który żywił jego i całą rodzinę i przyjmuje posadę „c. k. auskultanta," „concepts-praktykanta" lub komisarza w policyi—i przeżuwa zapracowane przez ojca pieniądze. Gdybyż to na tem koniec było — o, nie — w jego umyśle zacieśnionym, zapleśniałym wyrabia się kult siły, a hofrat wiedeński lub szef biura sekcyjnego w ministeryum w Wiedniu staje na szczycie jego marzeń.

Gdy publicznie zrobiono tutejszej młodzieży zarzut ospalstwa, niedołęztwa i karyerowiczostwa, jeden z nich odpowiedział w sposób bardzo ciekawy i znamienny. Nie zbijał zasadniczo zarzutu, ale pisał o tem, że wielu bardzo z młodzieży, uczęszczającej na prawo, znajduje w przyszłości — łatwiejszy sposób utrzymania rodziny. To znaczy—ty o Pawle, on o Gawle.

Drugim znakiem obudzenia się ducha samokrytyki w Galicyi jest bardzo ostra ocena działalności Wydziału krajowego. Co na to powie *Nowa Reforma*— aż strach pomyśleć! Ona jeszcze tak niedawno kłaniała się do samej ziemi p. St. Badeniemu i prosiła go o — protekcyę bezskutecznie. Jedno z pism tutejszych powiedziało bez ogródki, że Wydział krajowy jest — mówiąc z polska po węgiersku — „stromanem," czyli strachem na wróble, z którego sobie nawet wróble nic nie robią. Jużci przy tej sposobności i ja wyjść muszę na zbrodniarza, bo to samo pisałem i piszę. Ale mniejsza o rozmaitych adjutantów. Bezsilność, brak wszelkiego zaufania do niego, jako instytucyi autonomicznej i bierność Wydziału krajowego okazały się najwymowniej teraz właśnie, za królowania St. Badeniego, kiedy cuda sobie opowiadano pod sekretem o tem, co będzie — co będzie! Przekonaliśmy się, że nic nie było i nic nie będzie. Kiedy Badeni we Lwowie obcinał dyety urzędnikom i chwalił się, że czyta wszystkie „kawałki," jakie mu do podpisu dają, na wsi, śród ludzi, z którymi rady powiatowe powinny były mieć ustawiczny stosunek, na wzajemnem zaufaniu oparty, przygotowywał się wybuch gwałtowny. Żaden z wójtów, bezpośrednio zależnych od Rad powiatowych, ani słówkiem nie wspomniał o tem, co się święci, chociaż rozprawiano głośno, że „Rudolf pozwolił." A dlaczego? Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Zaufania nie wytwarza się za pomocą okólników, ale czynow obywatelskich. Wydział krajowy miał dużo czasu na to, ażeby takie zaufanie wytworzyć — i nie wytworzył. Starostowie piszą reskrypty do marszałków powiatowych, namiestnictwo do prezydyum Wydziału — czemże u licha jest ten Wydział? Czy jakąś filią starostwa i namiestnictwa, czy instytucyą samodzielną, rządzącą ekonomicznymi interesami kraju. Tak, jest instytucyą samodzielną, z łona i z ramienia sejmu działającą, ale nie umie utrzymać powagi, nadanej mu przez konstytucyę i zeszedł do roli służki rządu. Mało brakuje, a można

go będzie nazwać c. k. Wydziałem krajowym. Ale to wszystko nie przeszkadza nam mieć bardzo znakomitego marszałka krajowego.

Niedawno w kasie Wydziału, niewiadomo z jakiego powodu, podobno zginęło 12,000 złr. To taka drobna suma, że nie warto byłoby mówić o niej, gdyby rozmaici krzykacze nie rozmawiali — bardzo cicho — na temat moralności.

Są głębsze przyczyny tego rozkładu społecznego, jaki panuje obecnie w stosunkach Galicyi, a szczególnie na wsi; tkwią one w różnych ustawach administracyjnych, skierowanych jeszcze przez rządy przedkonstytucyjne na osłabienie społeczeństwa polskiego. Skutkiem tych ustaw oddzielono gminę wiejską od tak zwanego „obszaru dworskiego," a z niedojrzałej politycznie i społecznie utworzono odrębny organizm. Rada państwa nie potrafiła wywrzeć na niego swego wpływu; poszedł więc z jednej strony pod komendę starostów, a z drugiej — lekkoduchów, korzystających z ciemnoty i bezradności gminy. Na teraz muszę wszakże tę sprawę zostawić, ażeby nie zejść z drogi, którą sobie wytknąłem.

W bezradnej i pozbawionej opieki gminie wiejskiej rozsiadł się Żyd karczmarz, szynkarz, lichwiarz i ubożył ludność, wykupując od niej ziemię lub wyłudzając rozmaitymi sposobami. Przekonaliśmy się, że obok ucisku ekonomicznego, który krępował wszelki przemysł wiejski, dusił ludność podatkami i pozostawił ją skrępowaną wobec biedy, stał Żyd w roli zaczajonego rozbójnika, czyhającego na resztę mienia. Mówię o tem bez żółci, bez żadnej nienawiści rasowej, ale w imię sprawiedliwości, głęboko oburzony tymi faktami niszczenia ludności wiejskiej przez Żydów, na które sam patrzyłem i patrzę. Nowy namiestnik wejrzał w tę sprawę lepiej i uczciwiej, niż to robili inni — a właściwie nic nie robili — i postanowił rozciągnąć większy i pilniejszy nadzór nad szynkarzami. Mam tu na myśli okólnik jego do starostów o zaostrzenie nadzoru pod względem kwalifikacyi osób, trudniących się wyszynkiem. Dwie są kategorye szynkarzy: na podstawie koncesyi przemysłowej i — prawa propinacyi. Pierwsi musieli wykazać, że są pod względem uczciwości nieposzlakowani i zasługują na zaufanie. Drudzy otrzymali nominacyę na mocy zawiadomienia dzierżawców propinacyj, że ten a ten został mianowany szynkarzem. Starosta wymierzał opłatę, a veto swoje zakładał wówczas dopiero, gdy przeciwko karczmarzowi powstawała powszechnie opinia publiczna, jako przeciwko człowiekowi nieuczciwemu i wyzyskiwaczowi ludności. Rzadko jednak taka interwencya starosty miała miejsce. Ale w takim nawet razie nie zmieniało to istoty rzeczy, gdyż usunięty szynkarz podstawiał na swoje miejsce żonę lub kogoś z najbliższej rodziny — i robił, co chciał.

Jak wszystko w Austryi, tak i prawo o szynkarzach wogóle jest połowiczne. Ustawa przemysłowa z r. 1888 trudniących się wyszynkiem na zasadzie koncesyi ścisnęła o tyle, że zakaz rozciągnął się na rodziny; propinatorowie mogli dawać zastępców. Człowiek zatem zły, rujnujący wieś całą szerzeniem opilstwa, wyzyskiem włościan, uprawianiem lichwy, działał prawie bez kontroli prawnej, na zasadzie prawa propinacyi, mianowany przez dzierżawcę, wyłamywał się niejako z pod ustawy przemysłowej i niszczył wszystkich dokoła. Nasuwa się pytanie: któż brał od rządu w dzierżawę propinacyę? Bo jużci kto bierze, a oddaje łotrowi, ażeby od niego wziąć więcej, niż rządowi płacił, musi być także nie bez winy. Prawo pod tym względem pozostawiło pierwszeństwo właścicielowi tej wsi, w której istniała propinacya, a więc winni, niestety, panowie bracia szlachta, baronowie i liczni hrabiowie galicyjscy. Oni to dzierżawią prawo wyszynku od rządu, a od siebie włościan oddają w dzierżawę Żydom propinatorom. Ponieważ bawienie się w tego rodzaju przedsiębiorstwa jest kwestyą moralności publicznej, okólnik namiestnika nie mógł się nią zajmować, lecz zwrócił całą uwagę na większą, niż dotychczas istniała, kontrolę szynkarzy i szynków. Całem nieszczęściem w tej sprawie jest to, że sam rząd posiada na propinacyę rodzaj monopolu; on prawo to kupił od szlachty, a pragnąc mieć z tej gałęzi zysk, wydzierżawia propinacyę innym. Walka przeto z szynkarzami jest walką z rządem, czyli mówiąc inaczej: on sam z sobą walczyć musi. Zamknięcie szynku jest jego stratą materyalną; łotra i wyzyskiwacza puścić do karczmy nie można, a uczciwy człowiek zwykle handlem gorzałki nie trudni się. Oto powstaje koło błędne, z którego niema wyjścia przy systemie połowiczności, panującym w Austryi. Właściwie rząd austryacki należałoby pociągnąć do odpowiedzialności o szerzenie pijaństwa i zubożanie ludności, jako następstwo handlu demoralizującego.

Czy okólnik namiestnictwa, zdążający do większej kontroli wyszynku, do ograniczenia prawa kwalifikacyi, przyniesie duży pożytek? Wątpię. Dopóki rząd austryacki będzie występował w roli nieuczciwego szynkarza, dopóty starostowie będą mieli do pewnego stopnia związane ręce. Niewątpliwie jednak, że działalność hr. Pinińskiego w tym kierunku, będąca następstwem powszechnych skarg i żądań, usunie wiele złego z dotychczasowych stosunków propinacyjnych.

*Cho.*

## ŻELAZNE OBJAWIENIE.

(Z powodu mowy ojca Didona)

Na granicy między minionem i bieżącem stuleciem wzniosły marzyciel Schiller stawał i rozglądał się dokoła z uczuciem niezmiernego bólu. Nowy wiek powstawał w oparach krwi. Miecz Brennusa z hałasem padał na wagę sprawiedliwości. Na niezmierzonych przestworach ziemi poeta nie znajdował przystani „dla dziesięciu szczęśliwych." Zamykając się w sobie, wołał:

> Tylko w sercu zaciesznej głębinie
> Człowiek może znaleźć spokój jeszcze:
> Wolność świeci tylko w snów krainie,
> Pięknem błyszczą tylko pieśni wieszcze!

I oto wskazówka na zegarze czasu przesunęła się niemal o sto lat. Już wkrótce wyłoni się z mgły wiek nowy... A hałas „miecza, padającego na wagę sprawiedliwości," słychać wciąż jeszcze. Słychać niemal wyraźniej. A przynajmniej w dźwięku jego jest pewien ton nowy, budzący grozę większą, przykrzejszy dla myśli. „Vae victis!" nie brzmi już, jak pijany okrzyk, jak przelotna pieśń chwilowego tryumfu, ale jak zimne, surowe słowo teoryi, jak nieubłagany wyraz systemu, roszczącego sobie pretensye do najwyższej mądrości — rodzaj *żelaznego objawienia*, pragnącego rozstrzygać zagadkę życia na zawsze. Rodzącemu się wiekowi pobłogosławił schodzący do grobu Bismarck...

Nie należymy do tych, co w zmarłym księciu żelaznym upatrują człowieka, który jakoby odwrócił bieg dziejów, przekręcił sprężynę życia narodów, niemal zaszczepił w ludziach instynkt niszczenia. Czasy Bismarcka nawet w połowie nie były tak krwawe, jak okres Napoleona I, kiedy „granice państw zmieniały się codzień i obwódki ich na mapie ziemi przybierały barwę jednostajnie czerwoną — krwi ludzkiej" *), kiedy trupy padały gęsto na całym kontynencie, od północy do południa i od zachodu na wschód, kiedy huk armat rozlegał się równocześnie na wierzchołkach Pireneów i na równinach pod Smoleńskiem, kiedy wszystkie ludy Europy pasowały się w śmiertelnym uścisku. Ale bitwy Napoleona sprawiają wrażenie świetnych improwizacyj, niepohamowanych wybuchów szaleństwa; jest w nich gorączka, zapał, tchnienie sławy. Wojny Bismarckowskie zdają się, przeciwnie, ukartowanemi na zimno, uplanowanemi chytrze i podstępnie zasadzkami. Wojna z Austryą to obliczone naprzód bratobójstwo. Wojna z Francyą, to wyborna spekulacya, przeniesiona z papieru na skórę ludzką. Sowiński w swojej świetnej apostrofie do Napoleona, którego bynajmniej nie uwielbiał, nie może się powstrzymać, aby nie zawołać doń: „ogromny jesteś bitew aniele!" A dalej powiada:

> Dziś w wyobraźni zaklętem kole
> Jak bożek świecisz z gwiazdą na czole.
> Lecz innym staniesz przed światem całym,
> Gdy cię pod rylcem ujrzy dziejowym:
> Dla oka wielkim i posągowym,
> Wobec sumienia — nędznym i małym!

Otóż odbici w sumieniach Moltke i Bismarck, nie mają dla oka nic posągowego. Jeżeli zbudzą podziw, zdumienie, to chyba jak kolosalne, dokładnie działające, ze świecącej stali maszyny. Pod Sadową i Sedanem nie było „aniołów bitwy." Unosił się nad niemi Merkury, wchodzący z Marsem w konszachty.

Narody szły krwawym gościńcem tak przy Bismarcku, jak i przed nim. Pająk-Metternich rozstawiał i snuł swoje sidła już wówczas, gdy żelazny książę leżał w swojej kołysce. Zło kładło swoją ogromną pieczęć na historyi naszego wieku, zanim Bismarck nad nim zaciężył. Bieg dziejów nie odwrócił się, nie przekręcił... A przecież rola Bismarcka w nałożeniu cugli na postęp etyczny jest niezmierną.

Zło, które istniało w dziejach, bo istniało i istnieje w ludziach, przez niego zrobiło ogromny krok naprzód. Wybrało go, aby uświadomić się w nim, a przez uświadomienia się, podnieść się do godności zasady. Przy Bismarcku zło przestaje się wstydzić. Uznało za zbyteczne obwijać swoje słowa w bawełnę. Odrzuciło hipokryzyę, jako rzecz niepotrzebną. Wówczas, kiedy było obłudnem, liczyło się najwidoczniej z dobrem, uznawało je za siłę nieprzyjemną, ale za siłę. Dla uświadomionego w Bismarcku zła dobro, ideał, marzenia filozofów i poetów stały się czemś, co jest za drobne, aby mogło żenować. W jego kuźni dyplomatycznej nie dojrzałby nigdy traktat, podobny do traktatu „świętego przymierza," powołujący do kierownictwa w polityce przykazania ewangielii, które, „nie ograniczając się na zastosowaniu swojem i tylko do samego życia prywatnego, powinny bezpośrednio rządzić wolą panujących i ich czynami." Bismarck nie popisałby takich złudzeń nawet na papierze.

Kiedyś francuski pisarz Quinet zadawał pytanie, dlaczego zło, którego jest więcej, nie zdławiło, nie zniszczyło doszczętnie dobra? — I odpowiadał: bo zło działa w rozsypce, działa przez egoizm i dla egoizmu, bo każdy zły czyn jest wygraną tylko danego złego indywiduum, wygraną pewnego człowieka, podczas kiedy dobro jest wygraną idei, zasady, jest zwycięztwem wszystkich dobrych, bo wszyscy dobrzy święcą wspólnie tryumf każdego dobrego czynu.

---

*) Heine.

Otóż zło, uświadomiwszy się w Bismarcku, jak gdyby nabrało nowej potęgi i zmieniło system działania. Ogłosiło się za teoryę, rozwinęło sztandar i jęło zwoływać swoich stronników. Pomyślało o organizacyi, o utrwaleniu się na przyszłość, o zapewnieniu sobie imienia i wykazaniu prawowitego historycznego rodowodu. Oszańcowało się i przygotowało mocną argumentacyę — z armat i bagnetów, wydrwiło i postanowiło zmusić do ucieczki stare marzycielstwo filozoficzne. Ogłosiło się samo za filozofię, jedyną praktyczną, a zatem jedynie słuszną. Wojskowość uczyniło dokładnie działającą machiną. A zwyciężając, poczęło święcić swój tryumf... Ba, oto Ameryka, zaprzeczając swojej przeszłości, zaprzeczając świętej pamięci Waszyngtona, wstępuje w ślady starego świata — czy to mały tryumf dla idei Bismarckowskiej?...

I oto ślady moralnej rdzy poczynają ukazywać się wszędzie... Nie zepsucie mor...e dziwi. Gdzież go niema, gdzie go nie było?... Dziwi bezczelność tej rdzy, występującej tak jawnie, urągającej tak wesoło nawet tam, gdzie najelementarniejsza przyzwoitość nakazywałaby... przynajmniej maskę obłudy! Czy w istocie niema się już czego wstydzić?

Oto świeży, ogromnie wymowny fakt:

Ksiądz, ojciec Didon, podczas uroczystego aktu rozdawania nagród w jednej ze szkół wojskowych we Francyi, niedawno miał mowę, którą słuchacze przyjęli jednogłośnymi oklaskami. A powiedział on między innemi co następuje:

„Mówiąc o konieczności dla narodu posiadania siły, nie waham się wyrazić jaśniej i rzec, że mam na myśli poprostu siłę materyalną, tę siłę, co nie rozumie, nie oburza się, tę samą, którą najjaskrawiej uosabia armia, tę, jednem słowem, o której można powiedzieć to samo, co o armacie: że jest ona najwymowniejszym dowodem rządców państw.

Kiedy siła przekonania nie pomaga, kiedy miłość nie ma już mocy, naówczas wypada przywołać na pomoc siłę przymusową, potrząsać mieczem, szerzyć terror, ścinać głowy, zadawać uderzenia wymierzać sprawiedliwość. Użycie siły w takich warunkach nietylko jest prawnem i dozwolonem — jest ono obowiązkiem, i siła, użyta tym sposobem, staje się już nie brutalnym gwałtem, ale błogosławioną, świętą energią.

Szczytem mądrości państwowej jest skreślenie tego momentu, kiedy tolerancyą staje się wspólnictwem. Biada tym, którzy maskują przestępną swoją słabość niemocą praw, którzy mieczom pozwalają stępieć, których dobroć przechodzi w zbytnią powolność: kraj, strącony w przepaść klęsk, odepchnie takich ludzi, napiętnuje ich za to, że nie potrafili chociażby ceną krwi obronić go i ocalić."

Tak przemawia dzisiaj ksiądz — nie żaden junkier z obozu Bismarcka, ale powołany krzewiciel słowa bożego: ten sam ojciec Didon, który napisał wielotomowe dzieło: Jezus Chrystus, który w dziele tem kusił się objaśnić szczególowo każde słowo ewangelii, który nie zawahał się olbrzymi okres dziejów ludzkości, całą erę wielowiekową — erę pogaństwa ogłosić za stan „nienormalny," za okres „choroby," za czas „zarazy i przesilenia śmiertelnego!" *) Dlaczego?! Dlatego, że przed objawieniem ewangelicznem „były na ziemi wszystkie cnoty," ale nie było cnoty chrześciańskiej: przebaczenia i miłości względem wroga. „Wbrew wszystkiej filozofii i wszystkim jej perłom — powiada autor wspomnianego dzieła — świat przed przyjściem Jego, boskiego siewcy, był tylko gnojowiskiem." **)

*) Str. 97 (przekład polski).

**) Str. 106 tamże.

Jakimże siewcom zapłodnić chce dzisiaj świat ojciec dominikanin? Ideami ewangelii? Nie! zasadami pogaństwa, zasadami „gnojowiska." Potrząsaniem miecza, terrorem, ścinaniem głów! On, duchowny, pilnować pragnie, aby nie stępiały miecze, jakby mało było takich, którzy tego pilnują! On, duchowny, komentator ewangelii doradza uciekać się do wymowy armat!

Jakto, był historyczny moment, kiedy w olbrzymiem jasnowidzeniu — że wszyscy ludzie, wszystkie partye, wszystkie narody mogą przypisywać sobie słuszność i w obronie gorąco ukochanych, a przecie mniemanych prawd i fałszywych ideałów, tępić się bez litości — padło nad skłóconym światem wielkie słowo: „nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni." Był moment, kiedy gordyjski węzeł zagadki etycznej przecięty został jednym wyrazem: „miłość," kiedy zapowiedzianem było, że miłość wszystko pokona, kiedy ogłoszono ją za silniejszą od wiary, która „góry przenosza," był taki moment, a po nim upłynęło dziewiętnaście wieków, przez które słowa te powtarzano i wyjaśniano — i oto ten, który jest głosicielem tego światła, który czynił nad niem specyalne studya, który napisał dzieło o żywocie Jezusa Chrystusa i ubolewał w niem nad „starem pogaństwem, tkwiącem jeszcze na dnie biednego naszego społeczeństwa," ten sam woła dzisiaj: „zabijaj!"

Armata, podstawiona przez kapłana na miejsce słowa bożego! Ewangelia złożona do archiwum jako rzecz bezużyteczna!

Czyż nie tak? Posłuchajcie: „Kiedy siła przekonania nie pomaga, kiedy *miłość nie ma już mocy...*"

Cóż to jest?.. Ogłoszone bankructwo idei miłości — ogłoszono przez nauczyciela religii! Jako ideał wymowy postawiona siła materyalna — „ta, co nie rozumuje, ta, co nie oburza się," ta, co kluje bagnetem, co przeszywa kulą, co szerzy mord i pożogę!

Bagnet, kula — nie przeczę — to dowody jaskrawo, argumenty wymowne. Wiemy o tem wszyscy. Pocóż więc podpierać je jeszcze powagą kapłańskiego słowa? Armata opiera się dobrze na lawecie. Pocoż podstawiać pod nią kazalnicę?

Okropny czas, kiedy księżom zaczynają się śnić średniowieczni generałowie-biskupi, prałaci z krzyżem w jednej i z mieczem w drugiej ręce. Jeszcze krok jeden wstecz, a ojcowie Didonowie poczną nam zalecać zastosowywanie wymowy armat do wszystkich bez wyboru. W istocie, na co długie przekonywania i próby: kto się podda mocy słowa, a kto dopiero mocy armaty? — skoro opat Arnold przy oblężeniu Beziers jeszcze na początku XIII stulecia nauczył krótkiej procedury: „Zabijaj wszystkich, dobrych katolików i heretyków — Bóg na tamtym świecie odróżni swoich!"

Tak jest, rdza moralna szerokiemi plamami wystąpiła na tle społecznego życia na schyłku naszego wieku. Wystąpiła tak jawnie, że wypada żałować tej maski hipokryzyi, pod którą ukrywając się, nie biła przynajmniej tak bezczelnie w oczy. Czy doprawdy jest już tak ciemno, że ohyda uznała za stosowne wyjść nago na ulicę?

Wiktor Hugo, gdyby żył, powtórzyłby dziś dobitniejszym jeszcze głosem: „Potrzeba Boga bronić przeciw księdzu!"

*L. B.*

# FEJLETON.

## PAMIĘTNIK.

### Wyścigi taniości.

Kilka kroków zrobiono znowu w kierunku zniżenia cen wytworów literackich. *Gazeta polska* obowiązała się dawać abonentom bezpłatnie co tydzień tom dziesięcioarkuszowy, *Tygodnik ilustrowany* zaś zaofiarował swym prenumeratorom co miesiąc tom powieści Sienkiewicza. Tę drogę tanich wydawnictw, na którą tak skwapliwie rzucają się nakładcy, wskazał p. H. Wawelberg edycyą pism Mickiewicza, Sienkiewicza i Prusa. Zdawało się, że pp. Sikorski i Granowski, sprzedając w prenumeracie 52 tomy „Biblioteki" za 8 rb., doszli już do krańca zniżki; tymczasem *Gazeta polska*, dając za cenę o rubla wyższą, oprócz 52 dziesięcioarkuszowych tomów jeszcze dziennik, posunęła się znacznie dalej. Gdyby te wyścigi taniości odbywały się bez ujemnego wpływu na wartość produktów literackich, moglibyśmy je zaliczyć do najpomyślniejszych objawów naszego ruchu umysłowego. Bo czyż nie należałoby się cieszyć, że w społeczeństwie nielicznem, ubogiem i mało oświeconem pokarm duchowy stał się dostępnym nawet dla najbiedniejszych ludzi? Niestety, jest to u nas do pewnego stopnia tylko marzeniem. Wielką taniość wydawnictw umożliwiają dwa warunki: ogromne koło spożywców literatury i związane z niemi dochody uboczne. Jeżeli nakładca może liczyć na sprzedaż dziesiątków i setek tysięcy egzemplarzy, to najdrobniejszy zarobek na każdym wynagradza sowicie jego trudy, ryzyko i włożony kapitał. Znamy książki lub pisma peryodyczne za granicą, które rozchodzą się w 100—500 tysiącach egzemplarzy — cena ich więc może być niską. Ale u nas, gdzie 30,000 stanowi maksimum, osiągnięte zaledwie przez wyjątkowe przedsięwzięcia, rachunek wypada inaczej. Co do dochodów ubocznych — mamy na myśli ogłoszenia. *N. fr. Presse* wykazała na wystawie wiedeńskiej, iż do każdego abonenta dopłaca 3 guldeny rocznie i że ten wydatek pokrywają jej z zyskiem inseraty. Jeżeli przeto u nas jakiś dziennik przy prenumeracie 9 rb. brutto rocznie daje codziennie arkusz druku i co tydzień tom dziesięcioarkuszowy, to ażeby zdołał pokryć swe rozchody i dostarczać abonentom rzeczy dobrych, musi posiadać bardzo obfity dopływ ogłoszeń. Bez pomocy tego źródła będzie on z konieczności redukował wartość materyalną, a więc i literacką swoich produktów, tj. sprawdzał przysłowie o „tanich pieniądzach." Gdyby zaś ruch na tej drodze miał przybrać większe rozmiary, doczekalibyśmy się tego bardzo niepożądanego wyniku w literaturze, do którego doszli Niemcy w przemyśle — mianowicie wytwarzalibyśmy *schlecht und billig*.

### Niepoprawni

Znowu ofiary ludzkie! Przy kopaniu dołów pod fundamenty gmachu teatralnego na ulicy Długiej zawalił się stary mur i zabił dwóch robotników. Usłużna w takich razach reporterya zapewnia, że przedsiębiorca „ostrzegał" ich o niebezpieczeństwie, ale oni „słuchać go nie chcieli." Tere fere babuleńku! Znamy te ostrzeżenia, które zawsze odzywają się po wypadku i mają zabezpieczyć... winnych od odpowiedzialności karnej. Gdyby dozorca rzeczywiście dbał o zdrowie swych robo-

tników, nie potrzebowałby ich „ostrzegać,“ lecz wprost by im rozkazał, ażeby pracowali z zachowaniem koniecznych ostrożności. Dziwna doprawdy bajka splata się na prędce z takich smutnych zdarzeń. Opowiada ona naiwnym o jakiejś samodzielności najmitów, o ich „uporze,“ „lekceważeniu zalecanych środków“ i tym podobnych bredniach, jak gdyby tym ludziom bardzo zależało na tem, ażeby zginąć i osierocić swe rodziny. Nie przeczymy, że robotnicy często sami narażają swe życie, bądź przez zobojętnienie na niebezpieczeństwo, bądź przez nieznajomość jego możliwości. Ale pouczeni należycie, strzegą się. Prosty, ciemny człowiek może nie przewidywać, że podkopana w jakiemś miejscu ściana runie, ale budowniczy lub inżenier zna doskonale prawa mechaniki i wie, kiedy i jakie przedsięwziąć środki zapobiegawcze. Gdzie nad najemnikami czuwa troskliwa wiedza, tam oni pracują według wskazówek ścisłych i nie podejmują niczego na własną rękę. Takiego dozoru brakło widocznie przy robotach ziemnych na ulicy Długiej i dlatego zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Czyż ciągle nad takimi wypadkami będziemy przechodzili z zimną krwią do porządku dziennego?

### Bagatela w Bagateli.

Elegijny nastrój panował na ostatniem zebraniu Towarzystwa ogrodniczego: prezes, prof. K. Jurkiewicz, podał się do uwolnienia, z powodu niezdrowia, a zarząd stwierdził znaczny ubytek członków (40). Jeżeli dwa te fakty nie wiążą się dziś, to mogą się związać w przyszłości. Mianowicie, Towarzystwo powstrzyma dezercyę swych członków, a nawet pomnoży ich liczbę, gdy z ciała gadającego zamieni się na pracujące, gdy przestanie być areną dla popisów krasomówstwa reporterów i deklamatorstwa projektowiczów, do czego bardzo skutecznie pomógłby mu energiczny prezes, mający chęć i odwagę zatamować frazeologię i zwrócić Towarzystwo ogrodnicze do mniej szumnych, ale pożyteczniejszych starań praktycznych w dziedzinie ogrodnictwa. W obecnym stanie dla zepchnięcia statku z mielizny bardziej pożądanym byłby dzielny sternik, niż zasłużony matador. Z wyjątkiem wystaw, które się nie udają, słyszymy ze strony Towarzystwa tylko ciągle o kupnach, sprzedażach, dzierżawach, restauracyach, piekarniach, orkiestrach, teatrach itp., a o właściwych celach jego działalności głucho. Miały być jakieś cudowne rzeczy hodowane w ogrodzie Bagateli, miały być prowadzone jakieś doświadczenia, szkółki itd., a z całej tej góry urodziła się znowu spekulacyjna mysz p. Wołowskiego, proponującego wynajęcie Bagateli na widowiska. Zaisto, po tylu latach wahania się już wielki czas coś postanowić — i albo zająć się sprawami ogrodnictwa, albo urządzić klub rzetelny i wprowadzić do niego uroczyście winta. Przynajmniej członkowie nie będą nudzić się śmiertelnie.

### Pieczone gołąbki.

Jedno z pism donosiło niedawno, że do Warszawy przyjechał jakiś Polak z Syberyi, który oświadczył gotowość udzielania objaśnień wszystkim, pragnącym wejść w bliższe w stosunki z tym krajem. Ilu znalazło się chętnych zasięgnięcia informacyj — nie wiemy, ale wiemy, że zarówno w prasie, jak w odpowiednich stowarzyszeniach objawia się zbyt słabe zainteresowanie nowem położeniem, jakie wytworzyła kolej syberyjska. Bardzo poważni ekonomiści europejscy stawiają wróżbę, że Warszawa odegra kiedyś niezmiernie ważną rolę jako ognisko stosunków Wschodu z Zachodem. Rzeczywiście wzrasta ona z niebywałą szybkością, ściąga do siebie tłumy przedstawicieli handlu i przemysłu z zagranicy, którzy tu zakładają stacye swoich rozległych obrotów. Ale żywioły miejscowe nie zdradzają wyraźnie znacznego udziału w tym olbrzymim ruchu. Przewidujemy też, że Warszawa stanie się tylko zajazdem dla cudzoziemców, operujących na rynkach Wschodu, kraj zaś nasz nie będzie uczestniczył obok nich jako siła czynna. Zapewne, należałoby to także uznać za niemałą korzyść, gdyby miasto nasze było kiedyś wielkim hotelem kupców, prowadzących handel Europy z Azyą. Sądzimy jednak, że ambicye nasze powinny sięgnąć dalej i objąć operacye samodzielne. Nie możemy się równać z Anglią, Niemcami lub Francyą i nie możemy o tem marzyć, ażebyśmy te narody zwyciężyli na jakimkolwiek oddalonym rynku świata, ale posiadamy dość rozwinięty przemysł, a nadto przewagę geograficznego położenia, które nam zapewnia znaczne korzyści we współzawodnictwie. Więc trzeba o tem myśleć, rozwinąć energię, uruchomić kapitały i zużytkować masę sił ludzkich, zbywających od pracy w kraju, które marnieją na chudych posadach biurowych lub wyszukują ich jako desek ocalenia w przymusowem bezrobociu. Z zagranicy popędziła szlakiem kolei syberyjskiej armia agentów, mających zdobywać tamtejsze rynki; my nawet nie rozpoczęliśmy werbunku i poprzestajemy na wskazówkach turystów i przygodnych obserwatorów. Albo wyrzeczmy się gołąbków z tej krainy, albo nie łudźmy się, że one przylecą do nas pieczone.

## BADANIA NAUKOWE.

### HISTORYA.

Ignacy Prądzyński: *Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie polsko-rosyjskiej w r. 1831.* Petersburg, 1893.

Chociaż wojna jest pierwotnym i barbarzyńskim probierzem żywotności narodów, w każdym razie pozwala nam ona bardzo niekiedy dokładnie sądzić o stopniu umysłowego i społecznego rozwoju stron walczących. Warunki, w jakich zbiorowość do boju występuje, zasobność środków, jakie z siebie wydobywa w zaczepce lub oporze, większa lub mniejsza godność, z jaką się zachowuje wśród tryumfów lub niepowodzeń, są to znamiona nader ważne i ze względu na wyjątkowość zdarzeń, jedyne w swoim rodzaju, niczem innem niedające się zastąpić, przy ocenie charakteru grup etnologicznych, dziejowo sformowanych. O jedno tylko w takim razie chodzi, a mianowicie, ażeby świadectwa, na których wyroki nasze opieramy, posiadały nietylko ścisłość i rzetelność faktyczną, lecz pewną podniosłość i rozległość widoków ogólnych, historyozoficznych, ażeby się nie rozpraszały w drobiazgach podrzędnych i ubocznych. Do gry wchodzą czynniki wysoko napięte i daleko sięgające; przeto i miara do nich stosowana nie powinnaby być natury zbyt pospolitej i błahej.

W jakich granicach wymaganiom tym zadość czyni „Pamiętnik“ generała Ignacego Prądzyńskiego, pokazać to nam nie zaniedbał sam autor, wyświetlając w wielu miejscach okoliczności, towarzyszące jego pracy. Powstała ona z polecenia Cesarza Mikołaja I w Gatczynie w rok po stłumieniu powstania listopadowego (sierpień 1832), a pisana była na podstawie materyałów, dostarczonych wspaniałomyślnie przez zwycięzcę; dopełniał i prostował je autor z pamięci, gdyż dokumenty armii zwyciężonej wywędrowały wraz z nią za granicę. Wprawdzie, jako kwatermistrz — czyli właściwie jako szef głównego sztabu polskiego, więc nietylko naoczny świadek wypadków, lecz jeden z głównych, a może nawet najgłówniejszy ich „aktor,“ Prądzyński — nie dość, że z bliska widział działania machiny wojennej, ale sam przeważnie kierował ruchem jej sprężyn. Znał ją przeto dobrze i szczegółowo; czy jednak, znając jej szczegóły, należycie zdawał sobie sprawę z jej dźwigni zasadniczych? Czy całość jej przeznaczeń obejmował? Czy dobrze rozumiał, oprócz fachowej, samorzutną i celową stronę jej działalności? Odpowiedź na to w znacznym stopniu zależy od tego, czem był pamiętnikarz nietylko jako żołnierz, lecz jako obywatel i człowiek myślący. Generał Puzyrowski, autor znanego dzieła „Polsko-ruska wojna 1831 roku,“ powiada o nim zwięźle: „Prądzyński odznaczał się szerokiem i poważnem wykształceniem, umysłem twórczym, świetnością i śmiałością kombinacyj strategicznych, często genialnych; brak mu jednak było tyle cenionej przez Napoleona równowagi umysłu i charakteru...“

Oczywiście, ostatnie słowa generała Puzyrowskiego, równie jak i pierwsza część jego zdania, mają zabarwienie specyalne, z przedmiotem i stanowiskiem obu pisarzy ściśle związane — atoli nawet z punktu znacznie ogólniejszego możnaby ów „brak równowagi“ Prądzyńskiemu zarzucić i zarzut udowodnić szeregiem jego poglądów donioślejszych, wybiegających po za zakres... „kwatermistrzowski.“

Wzorem wielu polityków „ciaśniejszego kroju,“ którzy otarłszy się nieco bliżej o wierzchołki władzy, przyczynę większych wstrząśnień upatrują zazwyczaj w zboczeniach i nadużyciach administracyi naczelnej, Prądzyński genezę ruchu listopadowego przypisuje niemal wyłącznie niezadowoleniu z samowolnych rządów niektórych osobistości wybitnych. Ze szczególną natarczywością uderza w pierwszym rzędzie na komisarza cesarskiego w Królestwie, Nowosilcowa; przytacza jednak na dowód kilka wspomnień nierównej wagi. „Pewnego razu — pisze — komisarz odważył się przed pełną radą wyrazić zdanie, że zdrada i krzywoprzysięstwo względem monarchy są pierworodnymi grzechami Polaków...“ Jak widzimy, jest to najpospolitsza polajanka, bez sensu i bez konsekwencyi. Ale oto obok niej fakt gruby — więcej wszakże mówiący przeciwko towarzyszom Nowosilcowa, niż przeciw samemu Nowosilcowowi. „Innego znowu razu komisarz wywołał projekt, aby Rada administracyjna w imieniu całego narodu polskiego podała prośbę do cesarza i króla o zniesienie wszystkich instytucyj nadanych Królestwu, ze względu na to, że Polacy są jeszcze zbyt mało ucywilizowani, aby mogli z nich korzystać.. Projekt przyjęto. Książę Lubecki nie był obecnym na posiedzeniu, kiedy ten wniosek uchwalono; po jego nadejściu wybuchła gwałtowna dyskusya między nim i komisarzem, wskutek której rękopis projektu został podarty, a decyzya uznana za niebyłą...“

Obwarowany sporą wiązką anegdot powyższego gatunku, Prądzyński dość szczerze — jak się zdaje — zapewnia, że głębsze powody lub pobudki do rewolucyi wcale nie istniały. W powstaniu polskiem — zapewnia — nie było ani śladu nienawiści plemiennej do Rosyi, przyczem odwołuje się do sumienia tych, co wzięci do niewoli przez wojsko polskie, doznawali względów należnych nieszczęściu. Nie było również niechęci lub uprzedzenia do monarchy, ani w wojsku polskiem, ani wśród narodu. Prawda, że cesarz i król, bardzo mało był znanym osobiście w kraju, zaś „jego święte imię nie było otoczo-

ne takim szacunkiem i czcią, jak należało"; wszakże pochodziło to stąd, że przedstawiciel najwyższej władzy w Królestwie, „przed którym wszystko się korzyło i któremu potęgę nadał cesarz," zasadniczo osłabiał powagę monarchy, bądź przez butną opozycyę okazywaną urzędom wyższym, bądź „z powodów natury czysto prywatnej..." „Mogę o tem mówić z zupełną świadomością rzeczy — dodaje pamiętnikarz — gdyż sam tego doświadczałem w okolicznościach ciężkich, które mię wprowadziły w zdumienie. Przytem nikłość i pod pewnym względem fikcyjność zatargu listopadowego miały w sobie coś graniczącego z pustotą i śmiesznością." Autor porównywa z tego względu ruch warszawski do krótkotrwałych i chwiejnych, o parę lat wcześniejszych niepokojów ulicznych w Petersburgu i Nowgorodzie. „Ośmielę się zaręczyć — są słowa Prądzyńskiego — że jeżeliby w początku rewolucyi znalazł się między otaczającymi cesarza człowiek mu oddany, obdarzony jego zaufaniem i znający naród polski jak ja go znam i gdyby ten człowiek poradził cesarzowi ukazać się wśród nas niespodzianie, tak jak to uznał za stosowne uczynić w Petersburgu i Nowgorodzie, zaręczam, że broń wypadłaby z rąk największych buntowników i wszyscy padliby na kolana, oczekując rozkazów swego monarchy."

(D. n.) *J. T. Hodi.*

---

## LITERATURA I SZTUKA.

# MALARSTWO I RZEŹBA.

Tow. Zach. Szt. Pięk. — Salon Krywulta.

Lato jest porą sztuki; jest to chwila, kiedy większość artystów porzuca ciasne i duszne mury pracowni, aby rozsypać się po rozmaitych mniej lub więcej uroczych zakątkach, aby trochę popatrzeć na słońce i przestrzeń szeroką, aby przerzucić wreszcie choć parę kart tej wiecznej, ciągle studyowanej, a nigdy nie zgłębionej księgi, jaką jest przyroda. Wracają z początkiem jesieni te ptaki wędrowne z uspokojonymi nerwami, a jednocześnie z gorączką tworzenia, z pełną głową pomysłów, obrazów, planów i z pełnemi tekami szkiców, studyów, skrawków i ułamków natury. To też w końcu lata i na początku jesieni wystawy się zazwyczaj ożywiają. Kurz, nuda, szarzyzna ogórkowa znika, aby ustąpić miejsca nowej wiośnie, nowemu życiu. Prawda, większość szkiców i studyów, zebranych latem, czeka nieraz miesiące, zanim je artysta spożytkuje i w formę skończoną ubierze; lecz te pierwsze owoce podnieconego natchnienia, rozbudzonej twórczości zjawiają się wcześnie. Ze ścian salonów biją blaski, lecą promienie, płyną wonie żywiczne lasów, balsamy łąk skoszonych, tony fujarek, granie koników polnych; znać, że tu się rozpoczyna świeża praca, robota „na gorąco," młodzieńczy ruch. Tak podobno jest wszędzie, tak może było niegdyś i u nas, lecz tak nie jest teraz. Nasze salony śpią sobie dalej, ani ich wzruszyło lato, ani ich zbudziła zbliżająca się jesień; drzemka jest tak słodką!

Jużeśmy zadawali na tem miejscu pytanie, czemu przypisać należy tę pustkę naszych przybytków sztuki. Strach chwytał, gdy się na nią patrzyło, strach o osłabienie twórczości artystów. Lecz wszelkie wystawy zagraniczne, na których oni występują, życie, panujące na wystawie stałej krakowskiego Towarzystwa przyj. szt. pięk., płonność obaw podobnych wykazują dostatecznie; tylko nasze salony warszawskie widocznie nikogo do niezego zachęcić nie są zdolne.

Niewiele nowego przyniosło nam lato, ani jednego świeżego tchnienia, ani jednego nowego powiewu; zdawać by się mogło, że sztuka przerzuciła już wszystkie karty ksiąg przyrody i życia i wraca teraz do powtarzań. Oto, np. wita nas w salonie Zachęty weteran rzeźby polskiej, Cypryan Godebski, grupą marmurową p. t. „Namowa." Stary satyr siadł w zaroślach, na kolanach trzyma młodziutką nimfę i do czegoś ją namawia. Jakie to ładne i jak bezgranicznie banalne, mdłe, szablonowe. Takich satyrów, takich nimf o twarzach bezczelnie głupich i pozbawionych wszelkiego wyrazu, o mniej lub więcej ładnych kształtach widzieliśmy już tuziny. Czy jeszcze długo będą te postacie grasowały w sztuce? Czyż doprawdy doba dzisiejsza, pełna pytań, kwestyj, zagadek palących, ciężarna myślą i czynem, jest tak mało piękna, tak mało estetyczna, że nie może dostarczyć pokarmu dla twórczego ducha artystów? Ależ nie, nieprawda! Są talenty, co umieją wyczuć tętno czasu, umieją odkryć każde drgnienie duszy społecznej i oddać je w swych dziełach; są to przeważnie poeci i malarze. Rzeźba prawie zawsze pozostaje w tyle, a jeśli nawet podąża naprzód, to co chwila przystaje, aby się obejrzeć po za siebie tam, kędy świecą niepokalaną czystością marmuru przepiękne nagie kształty bóstw greckich. Do większości rzeźbiarzy współczesnych dają się zastosować sparafrazowane słowa poetki, że „skamieniały źrenice ich senne, wpatrzone w te wielkie posągi kamienne." Panom rzeźbiarzom śni się ciągle jeszcze cudny, lecz złud pełny sen o boskiej Heladzie. Im się ciągle zdaje, że uwielbienie nagiego kształtu i linii żyje jeszcze w piersiach, gniecionych krochmalnym gorsem lub ściskanych i wykrzywianych gorsetem—i częstują też nas nadal, jak za dawnych dobrych czasów, nimfami, satyrami, bóstwami. Przytem napróżno szukają modeli odpowiednich, bo ich już w czasach naszych niema; „zmodernizowano" kształty bogiń, wychodzących z pod dłuta artystów nowożytnych, przyprawiłyby o rozpacz każdego prawego syna Aten. Gdzieś na szerokim świecie budzi się już rzeźba ze snu swego i za innemi sztukami podąża — dowiodła tego podobno zupełnie tegoroczna „secesya" monachijska — u nas jednak śpi jeszcze. W ciągu ostatnich lat dziesięciu widzieliśmy chyba trzy tylko dzieła, które odrodzenie rzeźby naszej zwiastować się zdawały: to „Mickiewicz, budzący geniusza poezyi" Kurzawy, „Prometeusz" Welońskiego i wreszcze „Wniebowstąpienie" Laszczki. A po za tem? Po za tem znów nimfy i bogi, bogi i nimfy... Mógłby mi kto zrobić zarzut, że jestem ciasnym doktrynerem, zwolennikiem jednego kierunku, ekspresyi i idei w sztuce, wrogiem hasła „sztuka dla sztuki" — i wszystko to byłoby nieprawdą. Nie jestem czcicielem żadnego szczególnego kierunku, wszystko mi jedno, czy na powstanie danego dzieła złożył się impresyonizm, czy wibryzm, czy naturalizm, czy idealizm, czy intensywizm, czy realizm, czy jakikolwiek inny „izm," byle tylko dzieło to wywołało we mnie jakiekolwiek estetyczne lub moralne wzruszenie, byle tylko targnęło jakimkolwiek ukrytym fibrem mej duszy, byle tylko powiedziało mi coś nowego, bylem wreszcie widział, że duch artysty nie spał w chwili tworzenia, nie gapił się na żaden wzór. Jeśli zaś w piersi artysty nie ma nic prócz szablonu, w mózgu nic—prócz idei szkolarskich i pewnej sumy lepiej lub gorzej przyswojonych prawideł, jeśli dusza jego jest podobną do tych pensyonarskich albumów, w których każdy wiersz jest pisany inną ręką, prócz ręki właścicielki — to stokroć lepiej, aby artysta taki nie tworzył nic. Artystycznego śmiecia mamy więcej na rynku, niż odbiorców. Otóż „Namowa" jest właśnie takiem niewątpliwie ładnem i niewątpliwie szablonowem dziełem sztuki; lecz wyrzeźbił ją Godebski, a tego dość, aby ją kuryerkowi „wzmiankarze" okrzyczeli jako „arcydzieło."

Już to nazwiskom znanym stanowczo się nie poszczęściło. W tym samym salonie oglądamy wołający o litość obraz historyczny prof. Gersona, „Kazimierz Odnowiciel." Kto widział kiedykolwiek choć jeden krajobraz tatrzański Gersona, ten musiał podziwiać głębokie odczucie przyrody przez artystę, wielką umiejętność oddawania jej czarów i uroku; kto widział kiedykolwiek choć jedno płótno historyczne Gersona, ten musiał również podziwiać... absolutną niemoc artysty wobec tematu dziejowego. Lecz tkwi w Gersonie jakiś dziwny upór, jakaś namiętność do historyi — i oto powstają takie rzeczy, jak „Kazimierz Odnowiciel," „Powrót z wygnania" i in. Zupełny brak charakterystyki (można naliczyć może pięć stałe powtarzających się typów), brak siły, niemożliwa, sprzeciwiająca się wszelkim prawom fizyki i geometryi perspektywa, wstrętny ryżawy ton, rozlany na twarzach ludzkich, pyskach końskich, niebie itd., zupełny brak życia i prawdy w postaciach, chłód wiejący z płótna — oto cechy „obrazów historycznych" Gersona. Aż smutno pomyśleć, że tak utalentowany pejzażysta, tak doskonały tłomacz uroków górskich, marnuje przez niepojęty upór czas, siły i talent na tworzenie rzeczy, pozbawionych niemal wszelkiej wartości artystycznej; bo że tam gdzieś jest nieźle malowana ręka, bardziej żywy ruch, trochę oryginalny wyraz — to złej roboty nie ratuje.

I byłby cały salon Zachęty okropnie pusty, pomimo znacznej ilości nagromadzonych w nim dzieł, gdyby nie kilka wybornych portretów i gdyby nie Brandt. Temu synowi stepów prędko obrzydł dwór królewski Jana III i frauencymer Marysieńki, więc wrócił tam, kędy go jakaś siła żywiołowa ciągnie, do braci kozaków. Wrócił — i dobrze uczynił. Idźcie tylko podziwiać te wyborne typy kozaków, tę niezrównaną perspektywę stepu w pochmurny dzień letni, kiedy to wilgoć przysłania plany dalekie i kładzie szarawe tony na twarzach i trawach („Wesele ukraińskie"), ten ruch i życie, gdzieś w stajni, pełnej tajemniczego półmroku, alarmem zbudzonej („Alarm"), tego pysznego jeźdźca na dziarskim koniu („Na stepie") na tle dalekiem drużyny kozaków, co to „w czerwieni i bieli po stepach płynęli, po smutnych kurhanach przeszłości," a wreszcie zatrzymajcie się przed pysznym wojakiem, który puszcza się wpław przez rzekę („Przeprawa") w krwawej purpurze zachodzącego słońca! Co to za ludzie i co to za konie! Nigdzie fałszywego rysu, nigdzie tonu, coby psuł harmonię i pełnię wrażenia! A nie, przepraszam, w tych czterech płótnach jest jeden mały dysonans: to trzecioplanowy koń w „Weselu," unoszący na grzbiecie palącego ze strzelby na wiwat Kozaka, koń, którego ruch niedyskretnie zdradza fotografię momentalną. Lecz śród czterech płócien jedna usterka, to chyba niewiele.

Jeśli już mowa o przyrodzie i jej prawych dzieciach, to wspomnieć należy o pejzażach Kędzierskiego, niepozbawionych prawdy, lecz rażących nieco grą kolorów i kolorków (np. w „Jesieni" i „Rybaku") i o krajobrazach Lindemana. Ten ostatni dotąd czerpał motywy z ulicy, teraz wyrwał się nieco na szerszy świat — i odrazu poczuł się nie u siebie, bo w błę-

kity niebios i szmaragdy pól wniósł manierę. Lindeman widocznie jest czcicielem linii w malarstwie, lecz zapomina jednocześnie, że linia w sztuce jest zupełnie matematyczną, pozbawioną wymiarów (przynajmniej szerokości i głębokości), gdyż jest tylko rezultatem przecięcia się rozmaitych płaszczyzn i plam barwnych. Odrzynając figury od tła wyraźnym, jednolicie zabarwionym konturem, myśli on uzyskać więcej plastyki, tymczasem chybia celu najzupełniej: figury wyglądają jak wycięte z tektury i naklejone na płótno (dwa „Żniwa“ w sal. Zach. i u Krywulta). Natomiast jego „W podróży“ o doskonałej perspektywie powietrznej i „Dzieci w słońcu“ są wyborne, bo pozbawione tej brzydkiej maniery, wziętej może od Puvis de Chavannes'a, którego naśladują czasem u nas „młodzi,“ jak np. Slewiński i po części Wyspiański.

Aby pisać o portretach Pochwalskiego i Horowitza, należałoby tylko wyczerpać słownik zachwytów; odsyłamy przeto czytelnika wprost do tych dzieł, tchnących taką prawdą i życiem, że się doprawdy nadają do studyów dla psychologa. Tu pragnąłbym zwrócić jeszcze uwagę na doskonałe, pełne silnego wyrazu studyum węglem Wyszyńskiego, jego portret, oraz na szereg doskonałych portretów Ludomira Janowskiego (w sal. Krywulta). Ten ostatni ma tylko tę wadę, że nieco niedbale traktuje akcesorya, poświęcając całkowitą pracę głowom; to też gdzieniegdzie dopuszcza się psujących wrażenie błędów; tak np. ręka lewa na portrecie stojącym razi rysunkiem i brakiem modelacyi.

*Michał Mutermilch.*

## SPRAWY EKONOMICZNE

### PRZEDSTAWIENIE AMATORSKIE.

Ile razy słyszę o tworzeniu się u nas nowej spółki, o organizacyi pracy zbiorowej, zawsze przejmuje mię dreszcz niepokoju: Czy tylko to się uda, czy nie rozpadnie się prędko? Doświadczenie, niestety, napoiło nas takiem niedowierzaniem, więc każde usiłowanie wywołuje w pamięci zmory: ambicye podrażnione, instytucye pogrzebane, ogniwa pracy zbiorowej skruszone, przyjaźnie i energicznie podane ręce — cofnięte, kieszenie wypróżnione, kredyt zamknięty itd. Więc i we wtorek ubiegły, idąc na posiedzenie przyszłej spółki rybackiej, nie mogłem się otrząsnąć z tych myśli smutnych. Nowe stowarzyszenie ma się rozpostrzeć szeroko, ogarnąć kraj cały, powołać do pracy zbiorowej wszystkich wytwórców, zorganizować na zdrowych i mocnych podstawach handel, któryby uśmiercił spekulacyę, usunął wyzysk, wysysający spożywców i wytwórców. Taka organizacya, to doniosły fakt w życiu społeczno-ekonomicznem, którego lekceważyć nie można.

Obawy moje sprawdziły się. Ta oliwa, czysta, niepodrabiana oliwa polska, która jest przyprawą wszelkiej pracy zbiorowej — ambicya, wypłynęła odrazu na wierzch. Do organizacyi tej spółki weszły różne żywioły, zapisali się licznie tacy ludzie, którzy znają ryby tylko z półmiska. Nie przynosi to im ujmy bynajmniej i nie może tamować wstępu do stowarzyszenia. Od wspólnika czy też akcyonaryusza nie jest wymagana fachowość, chodzi tylko o pieniądze — to paliwo, które podsyca ognisko wspólnej pracy. Ale niechże niefachowiec wyrzecze się roszczeń do wskazówek i udziału w dziedzinie specyalnej. Tego właśnie czynnika najbardziej obawiać się należy, bo może być pierwiastkiem rozkładowym w pracy zrzeszonej. Niestety, już na wstępie zakłócił on spokój i równowagę interesów czysto ekonomicznych. Zarodek, embrion instytucyi, stał się polem popisów i roszczeń sejmikowych, a raczej źle odegranem przedstawieniem amatorskiem. Kiedy p. Juszyński, wytrawny hodowca zaczął rozsnuwać swoje uwagi i wskazówki pożyteczne dla instytucyi, kiedy nie bawiąc się w obłudę i pochlebstwo, nie bacząc na książąt i hrabiów — uczestników stowarzyszenia, przystąpił do wypowiedzenia prawdy bez ogródek — prezydujący ks. Czetwertyński odebrał mu głos na tej zasadzie, że mówca „za daleko się posunął.“ Tem „dalekiem posunięciem“ były rady i uwagi, że kierownikami spółki przemysłowo-handlowej powinni być hodowcy i kupcy. „Inaczej stworzymy sobie kosztowną na lat kilka zabawkę i sposobność do miłych pogawędek, ale nie stworzymy przedsięwzięcia handlowego.“ Nato ks. Czetwertyński postawił swoje energiczne *veto* i uczynił krok wysoce nieparlamentarny, bo zaznaczywszy silnie swą władzę prezydyalną, przerwał mówcy rozsnucie wniosków, poprzednio już przyjętych. Całkiem słusznie, acz krewko, p. Juszyński wobec takiego wystąpienia wyraził swą nieufność do zarządu organizacyjnego i dodał, że skoro nie wolno dawać takich rad, których przyjęcie stanowi o bycie i powodzeniu instytucyi, to wytwórcy nie mają tam już nic do roboty i tylko pozostaje im zawczasu roztropnie się wycofać. I rzeczywiście, skoro zarząd organizacyjny, rozgrzany animuszem przewodnictwa, zamyka usta człowiekowi, który na usługi instytucyi oddaje swoją wiedzę fachową, doświadczenie i we własnym majątku pomieszczenia na towar, to można całkiem zasadnie przypuszczać, że towarzystwo stanie się obszernym stawem, zarybionym ambicyami, na którego powierzchni będą pływały grube ryby świata towarzyskiego i sportowego, że spekulacya korzystając z braku pracy sterniczej fachowców, wykopie kanały podziemne, którymi wypuści całą zawartość stawu i jako wspomnienie gospodarki zbiorowej, pozostawi głębokie łożysko z martwymi zarybkami dobrych chęci i mułem niezgody.

P. Juszyński był duszą projektu stowarzyszenia, jego zaś wnioski, zwężone i przecięte przez prezydyum, są tak ważne i podstawowe w organizacyi, że zasługują na streszczenie wobec szerszego ogółu. Zarząd przyszłej spółki rybackiej powinien się składać z trzech członków; z tych — dwu hodowców ryb. Obok charakteru prawnego, muszą oni posiadać gruntowną znajomość przemysłu rybnego i dawać poważną rękojmię odpowiedzialności materyalnej. Organami zarządu powinni być: dyrektor techniczny i administrator. Pierwszy — specyalista, doskonale obeznany ze wszystkiemi potrzebami i warunkami hodowli tudzież przechowywania ryb *). Administratorem spółki musi być kupiec, tj. człowiek, znający środki i metody handlu. Torując drogę swojemi zdolnościami i doświadczeniem, potrafiłby on zdobyć rynki krajowe i zagraniczne. Spółka nie może być instytucyą, służącą do wytworzenia kilku posad, dobrze płatnych. Dlatego też p. Juszyński proponuje, ażeby głównym gospodarzom, złożonym z hodowców nie udzielano wcale pensyi, lecz tylko zwracano koszty podróży i dyety. Pensye zaś innych nie powinny być nadmiernie wygórowane. Wogóle należy z organizacyi usunąć wszelki charakter synekuralny.

Pomijamy inne praktyczne wskazówki p. Juszyńskiego, gdyż te nie będą jeszcze spóźnione w dalszym przebiegu organizacyi. Obecnie bowiem zaledwie zdołano przyjść do porozumienia, jakiego charakteru ma być spółka. Jedni żądali nadania jej formy komandytowej, drudzy—udziałowej. Większość głosów utrzymała tę ostatnią. Niektórzy hodowcy ujawnili przy sposobności swój zawód i wbrew racyonalnemu rozwojowi form życia ekonomicznego twierdzili, że organizacya handlu nie da się pogodzić z organizacyą wytwórstwa, że zatem połączenie w jednej spółce interesów produkcyi i handlu jest niemożliwe i tylko szkodę wzajemną przynosić będzie. Wytwórcy chcą jak najdrożej sprzedać, kupcy — jak najtaniej nabyć; a tu jeszcze wyraźny hamulec proponowany przez p. Juszyńskiego: hodowcy nie mają prawa sprzedawać ryb więcej dającemu. Nadto spółka musi kupować je po cenach ustanowionych na każdy sezon. Pominięto przytem interesy jeszcze jednej grupy: spożywców, a zapomniano o tej doskonalszej formie organizacyi, powszechnie znanej nietylko z teoretycznych wykładów ekonomii, lecz i doświadczenia w rozwoju stosunków ekonomicznych, mianowicie że istnieć mogą stowarzyszenia, skupiające w sobie handel i produkcyę, bez szkody dla którejkolwiek z tych gałęzi, lecz z pożytkiem zarówno dla wspólników, jak i spożywców. Zyski z takiej organizacyi, pomimo taniości produktów, dają się osiągnąć za pomocą usunięcia drogiego pośrednictwa, tudzież sposobem stopniowego zniżania kosztów produkcyi, do czego prowadzi udoskonalanie i upraszczanie machineryi przemysłowo-handlowej. Stowarzyszenie, które jednocześnie wytwarza i sprzedaje, zawsze stoi na mocniejszym gruncie, niż wszelkie inne.

Nasza spółka rybacka tak jeszcze słaba, że nawet nie gardzi ofertą spekulanta, który chce wnieść 20,000 rb. kapitału, dać swoje składy w przystani wiślanej, oraz całą ubogą ale liczną klientelę żydowską. Gotowość przyjęcia owej oferty jest tem charakterystyczniejsza, że spółka w swoim programie postawiła wyzwolenie się z zależności spekulantów żydowskich. P. Lacher za swoje usługi żąda posady w spółce. O stopniu usilności popierania tej kandydatury przez niektórych członków świadczy to, że zapomniano o przepisach spółki, zabraniających narzucania jej jakichś wyjątkowych warunków przez udziałowca. Dał się słyszeć znamienny argument, że p. Lachera trzeba przyjąć nietylko jako zasobnego wspólnika, lecz także jako złe konieczne, bo jeżeli wstęp mu będzie wzbroniony legalnie i jawnie, to on postara się zostać wspólnikiem ubocznym, tj. jako spekulant, nabywać będzie przeważną część towaru spółki i następnie drogą i sposobami utartymi sprzedawać swojej licznej klienteli. W razie zaś przeszkód potrafi tę klientelę odciągnąć. Nie znamy ani p. Lachera, ani jego działalności; dowód jednak powyższy, podany przez kogoś, świadomego rzeczy, utwierdza nas w przekonaniu, że tak cenny wspólnik jest istotnie spekulantem i że potrafi prędko spółkę całą umieścić w swojej kieszeni. Sprawdzi się wtedy to, co powiedział ktoś dowcipny na posiedzeniu, że wypadnie nowej instytucyi dać tytuł: „Lacher i spółka rybacka.“ Jeden z uczestników dorzucił rozgoryczony: „Zadaniem naszem było uwolnić się z rąk żydowskich, tymczasem oddajemy się im dobrowolnie!“ W programie stowarzyszenia ekonomicznego o szerokim zakresie nie może być miejsca na cieplarnię antysemityzmu, czego zresztą większość dowiodła, żądając p. Lachera z zastrzeżeniami lub bez nich. Ale tutaj chodzi o bardziej społeczne i słuszne zadanie: usunięcie nie „wyznania mojżeszowego,“ czyli „starozakonnych“ (terminy dyplomatycz-

*) P. Juszyński proponuje na to stanowisko p. Kamińskiego, wytrawnego specyalistę.

ne), lecz spekulantów. Poco jednak tak długo i szeroko nad tem wszystkiem rozprawiano, skoro przyjęcie p. Lachera rozstrzyga odrazu kwestyę — usuwa z widowni spółkę, a pozostawia... p. Lachera? Czy warto więc zbierać się, naradzać, urządzać przedstawienia amatorskie z wielu niewprawnych i niezdolnych aktorów, skoro może wystąpić wytrawny monologista, p. Lacher, któremu estradę przedsiębiorczą urządzą w cichości uczestnicy spółki?

Organizatorowie czynią zabiegi na różne strony, usiłują sobie zjednać liczny zastęp członków w Warszawie, Łodzi i całym kraju. Ale, jak dotąd, mało zwracają uwagi na stronę praktyczną i zdaje się nie zbadali jeszcze dostatecznie wzorów wypróbowanych gdzieindziej. Jesteśmy w obawie, ażeby ludzie, którzy większą część swego życia spędzili na sportach różnych, nie wnieśli tego pierwiastku do przyszłego stowarzyszenia, o ile ono istnieć będzie; bo skoro jeden z najwytrwalszych i najdoświadczeńszych hodowców, któremu właściwie całą inicyatywę zawdzięczać trzeba — p. Juszyński, doznał bezprzykładnego lekceważenia na obradach wtorkowych, to trudno doprawdy uwierzyć w powodzenie tego przedsięwzięcia.

Bez względu na to, czy ono przyjdzie do skutku, czy też rozpłynie się we mgle usiłowań, zaznaczyć w końcu musimy, że pożądana byłaby zmiana jego nazwy na bardziej polską, zgodną z duchem, logiką i wymaganiami języka naszego. Dziś tytuł ten brzmi dosłownie: „*Rybne* stowarzyszenie w Warszawie“ *).

*Zen. Piet.*

## DZIEJE PRZEMYSŁU SWOJSKIEGO.

Bynajmniej nie grzeszymy znajomością własnego stanu ekonomicznego. Poprzestajemy na artykułach publicystycznych, w których jest zwykle więcej dobrych chęci, niż szczegółów, rzucających jakiekolwiek światło na nasze stosunki. Istnieje parę prac, podających pewien materyał faktyczny; inne ograniczają się pospolicie powtarzaniem i zestawianiem tego, co tamte w sobie zawarły. Przedewszystkiem zaś braknie rzeczy ogólniejszych — w tem znaczeniu, że usiłują wyrobić w umyśle czytelnika pewien obraz całokształtu i dać mu pojęcie o złożoności czynników i pobudek działających.

Książka, która ukazała się świeżo o rozwoju naszego przemysłu w języku niemieckim**), częściowo wypełniłaby tę lukę, gdyby nie to, że, pisana nie po polsku, tem samem może być przystępną tylko dla nieznacznej względnie liczby osób, bardziej interesujących się przedmiotem, a przytem posiadających obcy język. Praca ta nie rości sobie pretensyi do źródłowości, jest bowiem tylko zestawieniem materyału już istniejącego, ale za to wyczerpuje wszystko, co pisano w tej materyi nietylko u nas, lecz także za granicą. Pierwsza zwróciła ona uwagę na ciekawe sprawozdania konsulatów angielskich o stanie naszego przemysłu i widokach, które on posiada na przyszłość. Nadto odznacza się umiejętnością patrzenia na rzeczy i trafną oceną stosunków. Są to zalety, które, w piśmiennictwie o naszem położeniu gospodarczem zapewniają jej jedno z ważniejszych na razie miejsc! „Materyał, użyty do naszej pracy—uskarża się autor — leżał rozproszony w licznych, często nawzajem sobie przeczących dziełach statystycznych, w broszurach polemicznych, w notatkach dziennikarskich, w źródłach urzędowych i nieurzędowych. Wyczerpującego dzieła o historyi przemysłu polskiego w jego całości lub choćby o jego stanie obecnym niema ani w polskiem ani w niemieckiem lub rosyjskiem piśmiennictwie.“

Korzystając z nowego przyczynku, przedstawimy w najogólniejszych zarysach losy naszego rozwoju ekonomicznego, dokładniej przemysłowego.

Dzieje jego w obecnym wieku rozpadają się na trzy wyraźnie odgraniczone okresy.

Pierwszy z nich, rękodzielniczy, rozpoczyna się około r. 1820 i ciągnie się do r. 1850. Władze ówczesne kraju naszego wszelkiemi siłami starają się przywabić cudzoziemców, którzy w znacznej liczbie, bo dochodzącej do dziesięciu tysięcy, przybywają do Królestwa i dają początek okręgowi fabrycznemu łódzkiemu. Powstają: Łódź, Zgierz, Rawa, Pabjanice itd. Zwłaszcza założenie Banku polskiego w r. 1828 przyczynia się do obudzenia życia przemysłowego. Wyrób kortów i sukna stanowi główną gałąź rozwijającej się produkcyi. O postępie świadczy wywóz ówczesny do Cesarstwa, spadający silnie w swej cyfrze po wypadkach r. 1831. Mianowicie wynosił on dla tkanin co do wartości swojej:

| | | |
|---|---|---|
| w r. 1829 | . . . | 5,752,000 rb. |
| 1832 | . . . | 1,917,000 |
| 1850 | . . . | 2,564,000 |

Zdarzenia r. 1831 wywołują podniesienie taryfy celnej dla towarów, idących z Królestwa do Cesarstwa i zamknięcie w dalszym ciągu rynku chińskiego, jak okazuje się, dość znacznego, co oddziałało bardzo ujemnie. Rynek wewnętrzny posiadał rozmiary zbyt niewielkie, ażeby mógł dostarczyć dostatecznej podstawy dla rozwoju wielkiego przemysłu. Zaludnienie kraju nie przewyższało 5 milionów głów, gospodarstwo naturalistyczne przeważało. Rzecz zrozumiała, że w takich warunkach postęp przemysłowy po r. 1831 idzie zwolna i najważniejsza gałąź, tkactwo obywa się bez pary, poprzestając na pracy ręcznej. Posiada ono charakter prawie rzemieślniczy jak wogóle cały przemysł: jeszcze w r. 1857 liczono aż 12,542 fabryk i tylko 56 tysięcy robotników, tj. na pojedynczą „fabrykę“ przypadało zaledwie 4—5 zatrudnionych. Cały postęp polega na ukazaniu się zarodku nowych gałęzi, takich, jak garbarstwo, cukrownictwo, górnictwo itd.

Epoka druga rozpoczyna się z r. 1851, kiedy zniesiono taryfy celne, oddzielające Królestwo od Cesarstwa. Powstaje możliwość wywozu do Cesarstwa. Zamiast warsztatów, opartych na trybie rękodzielniczym produkcyi i posiadających bardzo nieznaczne rozmiary, zjawiają się po raz pierwszy przedsiębiorstwa, użytkujące z maszyn. W r. 1854 Scheibler zakłada fabrykę, liczącą 100 warsztatów tkackich i 80,000 wrzecion; w r. 1857 zakłady żyrardowskie zaprowadzają u siebie warsztaty tkackie mechaniczne. Rozwój początkowo odbywa się powoli, powstrzymywany przez nieobecność dróg komunikacyjnych, łączących ogniska naszego przemysłu z rynkami na Wschodzie. Sieć odpowiednich dróg — kolei—zaczyna powstawać po r. 1860: w r. 1862 zbudowano kolej Warszawsko-Petersburską, po niej linie idące do Rosyi środkowej. Wraz z postępem środków komunikacyjnych i rozmiary produkcyi wzrastają: w roku 1857 wynosiły one ogółem tylko 31 milionów rubli wartości, w lat 15 później doszły do 73, tj. powiększyły się o 135% i nawet 248%, jeśli mamy dowierzać innym źródłom statystycznym. Wreszcie zniesienie poddaństwa w Rosyi stanowi trzeci doniosły czynnik, sprzyjający rozwojowi przemysłu naszego.

W roku 1877 zaprowadzono opłatę ceł w złocie, co podwyższyło ją o 30%, w następnych zaś latach o 40%, a nawet o 50%. W r. 1881 nastąpiło nowe podniesienie skali celnej. Odtąd prawie corocznie, do r. 1891, ta lub inna rubryka celna ulega podwyższeniu. Przemysł Królestwa, pod wpływem reform celnych, zaczyna rozwijać się gorączkowo. Wymownie świadczą o tem dane statystyczne, dotyczące rozmiarów produkcyi; wartość wyrobu wynosiła w milionach rubli:

| | dla całej produkcyi | wyroby [illegible] | wyroby [illegible] | wyroby lniane |
|---|---|---|---|---|
| 1870 | 68,9 | 10,2 | 4,0 | 1,2 |
| 1880 | 181,8 | 33,2 | 22,0 | 5,0 |
| 1890 | 240,0 | 47,6 | 35,5 | [illegible] |

I nietylko wzrastają rozmiary produkcyi, ale także odbywa się w sposób bardzo energiczny centralizacya przemysłu, wielkość pojedynczego przedsiębiorstwa wzmaga się. Wartość produktu, wytworzonego w oddzielnym zakładzie, wynosiła kolejno w r. 1871 około 3,230 rb., w r. 1880 już 8,060, wreszcie w r. 1890 przypadło na pojedynczy warsztat 71,000 rb. Zaiste, bajecznie szybki wzrost centralizacyi! Liczby te będą posiadały charakter jeszcze dobitniejszy, jeśli zamiast przeciętnej dla całego przemysłu weźmiemy jedynie gałąź, najbardziej przodującą, mianowicie wyrobów bawełnianych. Cyfry, poniżej przytoczone, dotyczą odpowiednio lat 1871, 1859 i 1891. Przedewszystkiem rzuca nam się w oczy olbrzymi spadek liczby samodzielnych przedsiębiorstw: z 10,499 schodzi ona na 3,881, w końcu zaś do 1631 Jednocześnie liczba osób, zatrudnionych w tym zawodzie, nieustannie podnosi się: z 19,894 w r. 1871 wzrasta do 26,307 w r. 1891. Zakłady tkackie tej kategoryi, które w r. 1871 posiadały drobne rozmiary, bo przeciętnie dawały zajęcie tylko 1,9 robotnikowi, zatrudniają w dwadzieścia lat później aż 163 osoby. Jeszcze szybciej wzrasta wytwórczość ręki ludzkiej, z nią zaś ilość produktu, przypadająca na pojedynczą fabrykę. Wartość wytworu takiej jednostki przemysłowej podnosi się stale, przedstawiając w każdem z powyżej wymienionych lat kwoty nieprawdopodobnie odmienne, bo z 994 rb. w r. 1871 wzrasta do 7,9)0 w r. 1838 i wreszcie do 291,736 w r. 1891. Wyznajemy, że powtarzamy te dane statystyczne z niedowierzaniem, tak są osobliwe. Może istotnie opierają się one na innym obrachunku dla każdego z podanych lat. Nie mając pod ręką materyału źródłowego, nie możemy sprawdzić ich wiarogodności. Cały ten tak gorączkowy postęp sił wytwórczych Królestwa odbywa się pod bezpośredniem działaniem polityki celnej. Okazuje to rozwój Łodzi:

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| 1830 | 32,000 mk. | 2.600,000 | rb. | produkcyi |
| 1878 | 100,000 „ | 26,000,000 | | „ |
| 1885 | 150,000 „ | 36,500,000 | | „ |
| 1895 | 315,000 „ | 90,000,000 | | „ |

Oddziaływanie to ze strony taryfy celnej uwydatnia się jeszcze lepiej w innym okręgu fabrycznym kraju naszego, mianowicie sosnowickim. Przed laty kilkunastu ciągnęły się tam lasy, dzisiaj te okolice zaczynają konkurencyą swoją dawać się we znaki okręgowi łódzkiemu. Wziął on początek swój wskutek reformy celnej 1876 r. Pewna liczba fabrykantów pruskich i saskich, zagrożonych możliwą utratą rynków z powodu wprowadzenia ceł w złocie, przeniosła swoje zakłady lub założyła filie tuż w sąsiedztwie granicy.

Taka jest historya dziejów przemysłu w naszym kraju. Warto także zatrzymać się nieco nad położeniem rynków.

Z powyższych wywodów widać już całe znaczenie dla naszego przemysłu rynków

*) Na posiedzeniu wtorkowem do zarządu wybrani: S. ks. Czetwertyński, pp. Mierzejewski i Stodolski. Na zastępców: pp. Sikorski, Juszyński i Tomczycki. Na liście uczestników do d. 27 września zapisało się 58 członków. Spółka zacznie działać, gdy kapitał zakładowy wyniesie 60—75,000 rb.

**) R. Luksemburg: *Die industrielle Entwickelung Polens*. Lipsk 1898, str. 95.

wschodnich. Nie ulega wątpliwości, że większa część, może nawet dwie trzecie całego wytworu idzie na rynki tamtejsze. Te kanały zbytu powstały na dobre dopiero po r. 1870. Długi przeciąg czasu ograniczały się one guberniami zachodniemi i południowo-zachodniemi. W początkach lat osiemdziesiątych produkty nasze znajdują dostęp do Noworosyi, po kilku latach później zaczynają przedostawać się na Kaukaz. Jak szybko ten podbój odbywa się, o tem świadczą dane statystyczne. Mianowicie dowóz wynosił w pudach do:

| | Batumu | Tyflisu | Baku |
|---|---|---|---|
| 1885/6 | 39,000 | 55,000 | 68,000 |
| 1887/8 | 95,100 | 200,000 | 258,000 |

Następnie idą okolice, położone nad Wołgą. Wywóz wynosił do Carycyna, głównego punktu handlowego nad tą rzeką:

| | | |
|---|---|---|
| w r. 1887 | 75,000 | pudów |
| " 1888 | 74,000 | " |
| " 1889 | 106,000 | " |

Od r. 1890 towary swojskiego przemysłu przedostają się do Azyi. Naprzód zaczynają one rozpowszechniać się w Syberyi, powoli znajdują drogę z jednej strony do Chin, z drugiej zaś do Persyi i Azyi Mniejszej. Są to, jak dotychczas, pierwsze posterunki, obiecujące dla naszego przemysłu otwarcie zgoła nowych a rozległych rynków azyatyckich. Przeprowadzenie drogi syberyjskiej zwiastuje dla industryi Królestwa epokę nowego a silnego rozwoju sił wytwórczych, pod wpływem których kraj nasz, niegdyś wyłącznie rolniczy, zmieni do gruntu dawną swoją fizyognomię i tak już przeinaczoną: stanie się wielko-przemysłowym. Taki podbój rynków rosyjskich wywołał ze strony przedstawicieli okręgu przemysłowego moskiewskiego próby przeciwdziałania temu faktowi. Pojawiły się prace publicystyczne, usiłujące wykazać szkodliwość dla państwa rozwoju przemysłowego Łodzi i proponujące pewne środki zaradcze. W związku z tem dały się słyszeć u nas głosy, niezwiastujące trwałego istnienia naszemu przemysłowi i uważające go za wytwór sztuczny, który powstał w następstwie obostrzonej polityki celnej, i może zupełnie zaniknąć, gdy taryfy celne przybiorą charakter łagodniejszy. Twierdzono, iż industryalizm w naszym kraju, prócz tych względów przypadkowych, nie posiada najmniejszych naturalnych warunków, sprzyjających postępowi sił wytwórczych. Autor rozpatrywanej książki co do tego punktu nie podziela tak pesymistycznych zapatrywań. Zaprzecza on przedewszystkiem, ażeby w rzeczy samej istniał taki nieubłagany antagonizm pomiędzy naszym przemysłem a przemysłem Cesarstwa. Powstał tam swego rodzaju podział pracy, który sprawia, że pewne wytwory idą od nas na wschód, inne zaś przychodzą stamtąd do nas. Okoliczność ta sprawia, iż interesy wielu gałęzi przemysłu naszego zlewają się z interesami producentów surowego materyału w Cesarstwie, i interesy fabrykantów tamtejszych z interesami naszych wytwórców pół surowca. Producenci wełny w dzielnicach południowych, plantatorowie bawełny w Azyi środkowej i wiele innych grup wywierają np. nacisk na zarządy kolei żelaznych, ażeby zniżały taryfy przewozu i umożliwiły fabrykantom łódzkim nabywanie tanio surowca. Tak samo zakłady tkackie wyrobów wełnianych w Cesarstwie usiłują wyjednać udogodnienia dla ładunków przędzy, nadchodzących z Łodzi. Jeśli dla fabrykantów tkanin bawełnianych okręgu moskiewskiego walka przeciw dalszemu rozwojowi przemysłu łódzkiego lub sosnowickiego stanowi palącą kwestyę dnia, to natomiast inne grupy przemysłowców Cesarstwa są zainteresowane w położeniu zgoła odwrotnem.

Wogóle praca p. Luksemburg przedstawia bardzo pożądany przyczynek do wyjaśnienia naszych stosunków przemysłowych. Jeden szczegół w niej nas razi. Rozpatrując powien czynnik rozwoju społecznego, o wpływie jego należy sądzić nie z tego, co ludzie o sobie mniemają, tylko z wynikłych skutków. Autor właśnie podziela tę zasadę. Ale także nie godzi się przyznawać stronie podmiotowej czynników społecznych tylko takie dążenia, które odpowiadają otrzymanym skutkom. Cele świadomości podmiotowej i rezultaty podjętych w tym kierunku usiłowań przedstawiają niekiedy rzeczy rozbieżne.

## W DALI.

**Płock.** Miejscowy oddział Banku państwa otrzymał upoważnienie do udzielania ziemianom pożyczek na zboże. Warunki są następujące: Gdy obywatel złoży deklaracyę z żądaniem udzielenia mu pożyczki na zastaw zboża, niezwłocznie, a najdalej w ciągu dni trzech Bank wysyła na miejsce urzędnika, celem sprawdzenia ilości i rodzaju złożonego zboża, tudzież sporządzenia aktu zastawu. Referat delegata musi być rozpoznany i zatwierdzony na najbliższej sesyi komitetu pożyczkowo-ziemiańskiego, odbywającego swoje posiedzenia każdego tygodnia. Nazajutrz po sesyi interesant dopełniwszy formalności asekuracyjnych, może już podnieść przyznaną pożyczkę. Zaliczenia udzielane są na termin 5-miesięczny, z możnością prolongowania części pozostałego długu, po uiszczeniu pewnej ilości na rachunek pożyczki. Koszty delegacyi urzędnika bez względu na odległość wyjazdu, ponosi pożyczający, w stosunku $^1/_2$% od zatwierdzonej pożyczki. Na zebrane zboże w snopie i przyjęte na zastaw kantor udziela pożyczki do wysokości 60% tychże cen. Z pożyczek bankowych korzystać mogą również dzierżawcy, lecz nie inaczej jak za zgodą właścicieli majątków, a w razie potrzeby i za poręczeniem osoby odpowiedzialnej majątkowo.

**Kielce.** Dla gub. Kieleckiej opracowany został następujący projekt pomocy lekarskiej we wsiach: 1) Dla organizacyi pomocy lekarskiej utworzyć 11 okręgów lekarskich, w każdym okręgu założyć lecznicę na 10 łóżek i ambulatoryum dla przychodzących chorych, oraz po dwie stacye lekarskie w każdym okręgu. 2) Wyznaczyć w tym celu 11 lekarzy, 11 felczerów i 11 akuszerek-felczerek. 3) Ustanowić etat na utrzymanie personelu służbowego w sumie 34,430 rb rocznie. 4) Chorzy utrzymywani są w lecznicy bezpłatnie. 5) Na pokrycie wydatków zaprowadzenia pomocy lekarskiej ustanawia się oddzielny podatek i opłatę za lekarstwa od przychodzących chorych. 6) W ambulatoryach porady i pomoc chirurgiczna udzielane będą bezpłatnie, a jako zwrot kosztów za wydawanie lekarstw, pobierana będzie opłata po 10 kop. od chorego za każdy raz. 7) Podatek pobierany będzie: *a*) od obywateli ziemskich w rozmiarze 5½% od podatku gruntowego, zasadniczego i podymnego; *b*) od obywateli miejskich w rozmiarze 10% od podatku podymnego i liwerunkowego; *c*) od handlujących i przemysłowców w rozmiarach 5% od świadectw i patentów handlowych. 8) Dochód powyższy przelewa się do funduszów specyalnych rady gubernialnej kieleckiej dobroczynności publicznej, pod nazwą gubernialnego podatku lekarskiego. 9) Pobierana od przychodzących chorych opłata w kwocie 10 kop. przelewa się do funduszów specyalnych gubernialnej rady dobroczynności, pod nazwą funduszu dla przygotowania lekarstw i zaopatrzenia w nie ubogich. 10) W końcu każdego roku rząd gubernialny dopełnia rozkładu, jaka ma nowicie suma podatku lekarskiego winna wpłynąć w ciągu roku następnego z majątków folwarcznych, wsi, osad i miast w każdym powiecie oddzielnie i te wykazy bierze komunikuje zarządom powiatowym do poboru. Budżet roczny utrzymania pomocy lekarskiej w gub. Kieleckiej wynosi: pensye lekarzy 9,900 rb., felczerów 2,640 rb., akuszerek 3,960 rb., na rozjazdy lekarzom, felczerom i akuszerkom 2,200 rb., na utrzymanie lecznic, pożywienie, bieliznę i naczynia 12,100 rb. na lekarstwa 1,000 rb., na zakup potrzeb szpitalnych itd. 880 rb., na najem lokalów dla stacyi 1,650 rb., ogółem 34,430 rb. Celem pokrycia tego wydatku właściciele miejscy będą płacili 2,42% podatków więcej, wiejscy zaś 2,06%.

**Zegrz.** Przy ujściu Bugu do Narwi, przebywa obecnie partya inżenierów rządowych pod przewodnictwem inżeniera ministeryum komunikacyi Nikolskiego w celu wystudyowania projektu kanału łączącego Narew z Wisłą w linii prostej, bez potrzeby dojazdu do ujścia Narwi do Wisły pod Nowogieorgiewskiem. Na koszty tych studyów i sporządzenie całkowitego projektu władze ministeryalne przeznaczyły 26,000 rb. Projekt inżeniera Nikolskiego, któremu powierzono opracowanie wszelkich szczegółów, polega na tem, iż połączenie Narwi z Wisłą ma dochodzić nie do Jabłonny w linii najkrótszej, oddzielającej te dwie rzeki, lecz kanał narwiański ma wprost dochodzić do Warszawy, poniżej mostu kolejowego. Dla żeglugi na Wiśle i portu warszawskiego ma to doniosłe znaczenie. W chwili obecnej wszelkie transporty drzewa budulcowego i opałowego dostarczane są do naszego kraju z lasów grodzieńskich i wołyńskich, zbiegających się pod Zegrzem, otóż z Zegrza, a raczej z pod Serocka transporty wodne muszą przebywać drogę do Nowogieorgiewska 26 wiorst, a następnie płynąć pod wodę Wisłą do Warszawy 28 wiorst. Kanał zaś poprowadzony na Nieporęt (majątek hr. A. Potockiego) w kierunku Pragi, może mieć około 25 wiorst długości, licząc w tem zboczenia ze względu na spotykane w drodze pagórki. W każdym więc razie oszczędności drogi wodnej dla transportów przeznaczonych do Warszawy wyniosą około wiorst 30, z pominięciem przejazdu najtrudniejszego pod wodę Wisłą od Nowogieorgiewska do Warszawy. Inicyatorem budowy kanału narwiańsko-wiślanego jest p. Stanisław Skarżyński, obywatel gub. Łomżyńskiej, który od lat ośmiu starał się o prawa studyów i urzeczywistnienie projektu, dopóki rząd nie wziął całej sprawy na swoję rękę. Szczegóły te czerpiemy z *Wieku*.

## KRONIKA.

**Wiadomości społeczne.** W Zgierzu zatwierdzono stowarzyszenie śpiewackie.

**Szkoły.** Przy niższej szkole technicznej Świeciimskiego otwarto dwie klasy przygotowawcze z programem dwuklasowej szkoły miejskiej, z kursem pięcioletnim, do których przyjmowani będą chłopcy od 8—16 lat bez egzaminu. Dla umożliwienia wstępu do tych klas synom ludzi niezamożnych, opłatę roczną oznaczono do 1-ej przygotowawczej na rub. 60, do 2-giej na rub. 80, w czterech ratach po rub. 15 i 20. Ze świadectw dostateczne są metryka i świadectwo o szczepieniu ospy.

— D. 20 b. m. rozpoczęły się wykłady na wszystkich trzech wydziałach politechniki warszawskiej.

— Wychowańcom szkoły średniej mechaniczno-technicznej inż. Mittego odroczono wypełnianie powinności wojskowej do 24 roku życia.

— Ministeryum oświaty pozwoliło zwiększyć liczbę słuchaczów w warszawskim instytucie weterynaryjnym o 35. Tym sposobem wykładów słuchać może ogółem 150 studentów.

— Rada zarządzająca kolei Wiedeńskiej postanowiła otworzyć nową szkołę techniczną 6-klasową w Skierniewicach, dla dzieci urzędników, pracujących po za Warszawą. Na początek otwarte będą trzy klasy niższe. Trzy następujące—w ciągu trzech lat.

**Sądy.** Na ławie oskarżonych w II wydziale karnym zasiedli: b. kasyer kasy oszczędności przy Banku tutejszym, Michał Iljin i b. kontroler tejże kasy, Aleksy Jaśkiewicz pod zarzutem: pierwszy roztrwonienia 23,000 rb., 5 kop. pieniędzy kasowych

i fałszowania książek, drugi—nieoględności służbowej i niedopatrzenia owego nadużycia. Iljin, prawosławny, liczy lat 32 i jest synem żołnierza, Jaśkiewicz, również prawosławny, syn włościanina. Pierwszego skazano na pozbawienie wszystkich praw i zamieszkanie w ciągu lat 10 na Syberyi (2 lata przymusowo w gub. Jenisejskiej). Drugiego skazano na uwolnienie ze służby i przysądzono akcyę cywilną w zupełności.

**Prasa.** Od 15 października wychodzić zacznie *Tygodnik Polski*, pismo społeczne, literackie, artystyczne ilustrowane pod kierunkiem p. Maryana Gawalewicza.

**Konkurs.** P. Cypryan Godebski za pośrednictwem Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie ogłasza konkurs rzeźbiarski. Przeznaczył 500 rb. na dwie nagrody, 350 i 150 rb. za najlepsze prace rzeźbiarskie, do 15 grudnia r. b., wykonane z gipsu lub terakoty. Temat do uznania rzeźbiarzy.

**Przemysł i handel.** Komitet giełdowy warszawski otrzymał od departamentu przemysłu i handlu polecenie zwołania zjazdu młynarzy w Warszawie z Królestwa Polskiego. Jak wiadomo, od chwili pierwszego zjazdu w Petersburgu, stanowią oni osobny okrąg. W czerwcu r. b. odbył się w Moskwie ogólny zjazd młynarzy z całego państwa, na którym ostatecznie zatwierdzono projektowaną już poprzednio organizacyę rady młynarskiej w Petersburgu i wyrażono życzenie, aby dla dokończenia wyborów przedstawicieli okręgowych i ich zastępców oraz dla rozejrzenia się w potrzebach miejscowych przemysłu młynarskiego, odbyto zjazdy okręgowe. Departament uznał, że najlepiej byłoby urządzić je przy komitetach giełdowych. Zjazd młynarzy naszych zapowiedziano na dzień 5 października; posiedzenia odbywać się będą w sali giełdy warszawskiej. Przedmioty porządku dziennego: wyrażenie potrzeb miejscowych przemysłu młynarskiego; określenie sum potrzebnych na utrzymanie biura przedstawicieli; sprawdzenie produkcyjności młynów; sprawa utworzenia towarzystwa ubezpieczeń młynów, na wzajemności opartego; sprawa udziału na wystawie wszechświatowej w Paryżu w r. 1900; wybór przedstawiciela i jego zastępcy.

— W „Zbiorze praw" ogłoszono ustawę Towarzystwa akcyjnego budowy domów w Królestwie Polskiem. Działalność Towarzystwa rozciąga się na całe Królestwo, z wyłączeniem gruntów włościańskich, a ma za cel przewodni, według ustawy, podniesienie skali wygód mieszkalnych. Oprócz budowy i przebudowy domów na własny rachunek, oraz na zlecenie, służy mu prawo wyrobu materyałów budowlanych, jak np. cegły, dachówek itp. Do zarządu Towarzystwa, oprócz założycieli, pp. G. hr. Łubieńskiego i H. Orgelbranda, wchodzą, jako fachowcy, budowniczy p. S. Szyler i inżenier p. E. Sokal.

**Zmarli.** Teodor Fontane, popularny pisarz niemiecki, w Berlinie.

*Dzieło dr. J. Dallemagne'a*

***Człowiek zwyrodniały,***

*które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach Prawdy, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko dwa ruble bez przesyłki.*




Redaktor i wydawca **dr. fil. Al. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава 18 Сентября 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.